Nr. 7. Kraków, dnia 13 lutego 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Niebezpieczeństwo niemieckie w Galicyi i środki zaradcze.

Konkurs „Tygodnika Narodowego Ilustrowanego".

Sprawa ekspansyi niemieckiej w kraju naszym, mimo tu i owdzie pojawiających się głosów przestrogi, do niedawna była przez ogół polski lekceważona. Tymczasem dzięki uśpieniu naszej czujności, czy też może wskutek zwygodnienia naszego, posuniętego do granic grzesznej wprost bierności, — Niemcy w Galicyi, popierani silnie przez Berlin, wzrośli do siły, zagrażającej naszym najżywotniejszym interesom narodowym, której zawczasu należałoby przeciwstawić odpowiednią tamę.

Niebezpieczeństwo niemieckie uświadamiają sobie coprawda w różnych kołach, odczuwać się wszakże daje brak wytycznych w postępowaniu. Co do tego panuje u nas pewna rozbieżność pojęć, wynikająca z niedoceniania ważności sprawy; zaś przedewszystkim brak dziś jeszcze szczerego zainteresowania się nią ogółu polskiego. Ogół za mało jest poinformowany o grożącem mu niebezpieczeństwie, stąd brak mu dróg i środków, stąd hasło bojkotu prusaczyzny, mimo wytężonej w tej dziedzinie pracy jednostek, nie wchodzi w krew naszą.

Biorąc wszystko to pod uwagę, rozpisujemy dziś **konkurs** *na szereg popularnych artykułów na temat*

„Niebezpieczeństwo niemieckie w Galicyi i środki zaradcze"

mających przedstawić możliwie dokładny obraz inwazyi niemieckiej w przemyśle naszym, handlu, urzędach itp., oraz wskazać środki, jakimi należałoby dążyć do usamodzielnienia się na wszystkich tych polach.

Tą drogą obiecujemy sobie zyskać liczny zbiór głosów cennych, które — po skwalifikowaniu ich wartości przez Sąd Konkursowy — kolejno opublikujemy w „*Tygodniku Narodowym Ilustrowanym.*"

Tematów łączących się bezpośrednio z istotą grożącego nam niebezpieczeństwa niemieckiego, znajdzie się niewątpliwie wiele; dla informacyi więc tylko podajemy niektóre, jak np. „Podbój przemysłu krajowego przez fabrykantów niemieckich, i jakich środków użyć nam należy w drodze do wyzwolenia", „Postępy niemczyzny w urzędach naszych autonomicznych i centralnych", „Uroszczenia niemieckie w szkolnictwie naszem", „Żydzi a niebezpieczeństwo niemieckie", „Niemcy zwolennikami ukraińców" itp.

* * *

Do wzięcia udziału w konkursie „Tygodnika Narodowego Ilustrowanego" zapraszamy wszystkich przejętych troską o dobro kraju naszego. Prace konkursowe nadsyłać należy p. adr. „*Tygodnik Narodowy*" *w Krakowie, ul. Wiślna l. 2.*

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 5 marca 1910 roku.

Nadesłane do konkursu artykuły opatrzone być winny w godło. Do artykułu należy dołączyć kopertę zamkniętą, zaopatrzoną tem samem godłem, co artykuł, a zawierającą nazwisko autora.

Skład Sądu Konkursowego podamy w numerze następnym.

* * *

Objętość artykułów winna być nie mniejszą jak 2 strony „Tygodnika Narodowego“ nie większą jak 4 strony.

Na najlepsze artykuły wyznacza wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“ **trzy nagrody: pierwsza w wysokości 100 koron, druga 60 kor., trzecia 40 kor.** Pozatem wydawnictwo zastrzega sobie prawo nabycia artykułów nienagrodzonych, lecz przez Sąd Konkursowy wyróżnionych, za honoraryum płatnym od wiersza.

Uprzemysłowienie Galicyi.

Jedno z najpopularniejszych haseł! Niema bowiem w Galicyi ani jednego stronnictwa politycznego i ani jednego kierunku, niema ani jednego pisma i ani jednej organizacyi, niema ani jednego działacza społecznego i ani jednego posła lub wzdychającego do mandatu poselskiego, któryby nie wyznawał tego postulatu, a nawet nie stawiał go w rzędzie najpilniejszych żądań.

Rychło jednak w praktyce więdnieje siła żądań i gubi się gdzieś sam naczelny postulat. Powody tego są rozmaite: w grę wchodzą zarówno czynniki polityczne, zwłaszcza zależność gospodarcza i finansowa od Czechów i Niemców, paraliżowanie wszelkich akcyi przez ich przedstawicieli na gruncie galicyjskim, brak kapitału samoistnego, brak wiary w powodzenie sprawy, a wreszcie niezdarność.

*

Dążność do urzeczywistnienia tego hasła spowodowała Sejm galicyjski do uchwalenia przed laty trzema rezolucyi, wzywającej rząd austryacki do utworzenia przy pomocy kapitałów obcych Banku przemysłowego. Wydział krajowy przeprowadził pertraktacye z Dolno-austryackiem Towarzystwem Eskontowem, a na mocy umowy wzajemnej, ma powstać *Bank przemysłowy,* mający za zadanie poparcie *gospodarczego rozwoju Galicyi* na polu *przemysłu, górnictwa, handlu i komunikacyi;* kapitał akcyjny wynosi 10 milionów koron; połowy z tego dostarcza Wydział krajowy, a połowy Dolno-austryackie Towarzystwo Eskontowe. Kapitał zakładowy może być podwyżony do 25 milionów koron, ale jedynie za zgodą Wydziału krajowego.

W ostatnich czasach w społeczeństwie naszem obudziły się żądania, ażeby w Banku przemysłowym użyć także kapitałów swoich. Wyrażono to życzenie na kilku wiecach, podjęto subskrypcye, a Andrzej Lubomirski imieniem finansistów i przemysłowców galicyjskich oświadczył gotowość złożenia na cele Banku dwu milionów koron, tak żeby Dolno. Austr. Tow. Esk. złożyło tylko trzy miliony. Tym sposobem uniezależni się kraj od przewagi wpływów niemieckich w Banku.

Jak sprawę załatwić, rzeczą będzie Sejmu. Jak obecnie szanse stoją, prawdopodobnie Sejm przyjmie propozycyę księcia Lubomirskiego. Zdobycie kapitału, którego będzie można użyć do uprzemysłowienia kraju, będzie w tej akcyi dużym krokiem naprzód.

*

Kupiectwo galicyjskie, a za niem i społeczeństwo zaopatrywało się w towar niemiecki, i to pochodzący przeważnie z Rzeszy niemieckiej.

Przed laty siedmiu rzucono hasło *boikotu towaru niemieckiego.* Miał to być odwet za prześladowanie dziatwy naszej w Wrześni. Bojkot jednak nie udał się. Wznowiono to hasło przed laty dwoma pod wrażeniem uchwał parlamentu niemieckiego o wywłaszczeniu i ograniczeniu praw języka polskiego. Dopiero wówczas akcya bojkotowa poczęła się realizować. Potworzono w kraju rozmaite komitety, a rugując towar obcy, poczęto zabiegać o towar własny, krajowy lub polski.

Akcya bojkotowa posuwać się może naprzód powoli. Kupiectwo nasze finansowo jest w rękach niemieckich, a usamodzielnienie się finansowe może nastąpić dopiero po zdobyciu odpowiednich środków na zaspokojenie wierzytelności i uzyskaniu gdzieindziej odpowiednich źródeł zbytu.

*

Uprzemysłowienie Galicyi nastąpić może dopiero wówczas skoro w naszem ręku znajdzie się drobny handel i pośrednictwo towarami. Tutaj przed społeczeństwem całem rozpościera się ogromne pole działania. Przez uświadomienie powszechne

i powszechne domaganie się towarów własnych będziemy mogli zdobyć zbyt dla wyrobów własnych. To jest klucz rozwiązania zagadnienia. Dziś po sprawach tak znanych powszechnie, jak przy zakupnie zapałek, nie mamy na tyle siły woli, aby wyrugować z kraju zapałki np. wiedeńskie, zalewające nas masami.

Cała praca musi się oprzeć na hasłach pozytywnych. Wyrobom obcym musimy przeciwstawić wyrób własny; pośrednictwu obcemu pośrednictwo własne. Już obecnie sprawa bojkotu towarów pruskich postawiona jest na gruncie realnym, na gruncie zastąpienia ich możliwymi wyrobami *naszymi.*

Uprzemysłowieniu kraju wiele niewątpliwie pomoże Bank przemysłowy. Da oparcie nowym zakładom przemysłowym i nowym fabrykom. Ale żadne banki uprzemysłowieniu kraju nie pomogą, o ile poparcia tej idei nie dostarczy całe społeczeństwo: o ile w każdem sklepiku, w każdem Kółku Rolniczym nie zmusimy sklepikarzy i „grosistów“ do sprowadzania towaru rodzimego. Ruch od dołu, ruch powszechny stworzy dopiero zapotrzebowanie *naszego* towaru. Gdy się takie zapotrzebowanie obudzi, stworzenie wielkiego przemysłu w Galicyi będzie tylko kwestyą czasu.

Kraj ma po temu wszelkie warunki.

***

Co tydzień niesie.

Kraków, 7 lutego.

Życie obraca się nieustannie około *Sejmu.* I nie decydują o niem żadne wnioski i sprawy stojące na porządku dziennym posiedzeń sejmowych, ale gra polityczna między klubami politycznymi. Chodzi o porozumienie pomiędzy Polakami a Rusinami.

Dojdzie ono do skutku prawdopodobnie na mocy takiego układu: Rusini zgodzą się na autonomiczne wnioski Aleksandra Skarbka co do rozdziału subwencyi hodowlanych, a Polacy otrzymają dwa gimnazya ruskie i dwa zakłady utrakwistyczne. Gimnazya ruskie staną we Lwowie i Brzeżanach, utrakwistyczne w Jaworowie i Rohatynie. Wzamian za to oddadzą swe głosy na wnioski o ustanowieniu krajowego zakładu hodowlanego, o subwencyi na cele hodowli bydła, podniesienie mleczarstwa i podniesienie wydajności gleby przez melioracye.

Porozumienie wzajemne utrudniają jednak sami Rusini. Ich ogólno austryacka organizacya na odbytem niedawno zebraniu powzięła takie *uchwały,* które wcale się nie przyczyniają do wzajemnego porozumienia. Nasamprzód wysunięto żądanie, na którego spełnienie Polacy nigdy zgodzić się nie mogą: *podział Galicyi na W. Księstwo Krakowskie i Galicyę Wschodnią ruską.* Podział taki sprzeciwia się naszym tradycyom historycznym, wedle których stoimy na gruncie jednolitości Polski, a w polityce realnej na gruncie zaborów dokonanych przez mocarstwa; sprzeciwia się naszym interesom kulturalnym i gospodarczym, one bowiem kraj cały tak zwięzują ze sobą, że nie może być mowy o jakichś rozdziałach i separacyach.

Rusini wiedzą, że my na żadne podziały się nie zgodzimy. Więc na razie domagają się podziału wszelkich *władz administracyjnych* i zastrzegają się na przyszłość przeciwko jakimkolwiek instytucyom ogólno-krajowym.

Również sprzeciwiają się uznaniu narodowości rosyjskiej w Galicyi. Takiej narodowości niema, ale partya Dudykiewicza, biorąca wskazania polityczne za granicami kraju, domaga się jego uznania i usiłuje dowieść, że naród rosyjski w Galicyi istnieje. Zastrzegł się przeciwko temu imieniem rządu namiestnik, wystąpili przeciw temu dawni współtowarzysze pracy Dudykiewicza, posłowie Korol, Hlibowicki, Dawydiak, Hanczakowski, Kuryłowicz, Krynicki, Traca, którzy zorganizowali właśnie *partyę umiarkowaną* staroruską, która jak najostrzej potępiła działalność Dudykiewicza. Organami tego nowego stronnictwa ruskiego są „Hałyczanin“ i „Russkie Słowo“. Partya ta, odnosząca się do nas najbardziej umiarkowanie, a w poglądach swych społecznych zwalczająca radykalizm i socyalizm, spotka się zapewne z poparciem społeczeństwa polskiego.

Więcej hartu w niewoli.

Już Rzym starożytny, z całą brutalnością tryumfującej siły, cisnął ludom podbitym, niby głaz twarde słowo: Biada zwyciężonym!

I oto z głową pochyloną, z duszą przejętą bólem, powtarzamy, niby palącem piętnem naznaczeni: „Hańba niewolnikom!“

Każdy z nas wstyd ten czuje, każdy go w sercu tłoczy szukając zaprzeczenia, pociechy i ratunku. Dlatego też z takiem uczuciem ulgi i żywiołowej radości witamy rodaków, którzy zdobyli laury wszechświatowej sławy, bo oprócz hołdu dla ich wiedzy, sztuki lub mistrzostwa, z których najczęściej nie zdajemy sobie dobrze sprawy, czcimy w nich bojowników Polski, wołającej przez nich głośno całemu światu: *Jestem!*

A pognębieni świadomością cisnącego nas jarzma, wobec siebie samych odczuwamy potrzebę zapewnienia, żeśmy nie zginęli. Skąd ta ustawiczna trwoga? ta bolesna wątpliwość?

Sto lat przeszło niewoli zostawiło swe ślady. Pocóż oczy odwracać i prawdę kryć przed sobą. „Nie lękajcie się tych, którzy ciała zabijają. ale duszy szkodzić nie są w stanie“ — powiada Chrystus, ale niewola właśnie truje ducha.

Wypadki lat ostatnich wykazały jasno, że choć wróg nie zdołał nas zgubić, ni osłabić, to zaszczepił nam w krew obcą kulturę, rzucił posiew zarazy, skrzywił umysły i znieprawił serca. Bo jarzmo niewoli nie tylko karki gniecie, ale podli charaktery, nie tylko plecy zgina, ale paczy mózgi, rycerzy w podstępne zamienia ciury, a bohaterom nóż hajdamacki wciska w rękę.

A krzywdę tę istotną, stokroć cięższą od wszelkich prześladowań, wywłaszczeń wyjątkowych paragrafów, zadała nam *obca szkoła.* Młodzież nasza z pod wszystkich trzech zaborów, o ile jej rodzina nie uratowała, nie umie dziś po polsku, co gorzej nie zna ducha polskiego, a nie znając, cóż dziwnego, że go lekceważy. Czoła nam plami, to najstraszniejsze piętno niewoli — urabianie myśli podług obcych wzorów.

Kształcimy się więc na Niemcach, Żydach i Rosyanach, stosujemy ich nauki do naszego społeczeństwa w życiu politycznem i karmimy się obywatelskiem naśladownictwem, które nam Polakom nie może nic dobrego przynieść, gdyż nie pochodzi z głębin twórczych naszego narodu — jest cudzą, narzuconą nam siłą rzeczy, szatą.

Przez krótkie lata mieliśmy własną narodową szkołę, od reformy Konarskiego do zamknięcia wileńskiego uniwersytetu, wspaniałe dała rezultaty. — Kościuszkę, Jasińskiego — bohaterów napoleońskich — i Mickiewiczowskie pokolenie, Promienistych. Później na chwilę podczas rządów Wielopolskiego, zaświtała lepsza dola — i Szkoła Główna warszawska, oraz kilka gimnazyów prowincyonalnych oddały narodowi młodzież polską, na polskich wykształconą wzorach.

Lecz dziś dla nas, własna nasza kultura, jest tak obcem, nieznanem zjawiskiem, że wprost ludzie nie rozumieją, co właściwie słowo to oznacza.

Nie kończy się ona bowiem ani zaczyna na znajomości literatury polskiej z epoki romantycznej, ale opiera się na głębokiem zrozumieniu dziejowego powołania Polski w pochodzie ludów do światła, na gruntownem poznaniu historyi własnego narodu oraz dążności i kierunków tego, co w nim było najmądrzejszego i najszlachetniejszego od symbolicznego Piasta począwszy, skończywszy na Drzymale z Pogradowic.

Każdy naród ma jakąś, sobie właściwą potęgę i odrębne piękno — każdy wnosi coś do ogólnej skarbnicy wszechświatowego bogactwa.

Polska zjawiła ludzkości ideał niezmiernie szlachetny, od wieków wypisała na sztandarze swym białym, krwą purpurową napis: *za naszą i waszą wolność,* krzewiąc ideę wszechbraterstwa ludów, więc nie wolno nam tej spuścizny skazić obcemi naleciałościami, ale obowiązkiem naszym ją przechować i zbogacić dorobkiem nowych prądów i nowych czasów.

Ani wywłaszczenie, ani prześladowanie Podlasia, ni katorga, ni Sybir krzywdy nam nie uczyniły w duchu — lecz wróg dosięgnął nas głębiej. Nie dopuścił oświaty do szerokich mas ludu — a w szkołach średnich i wyższych zatruł nam dusze kłamstwem, jadem nienawiści, barbarzyństwem i rozpustą. Nawet najlepsi noszą stygmat tej kultury, nawet najsilniejszym ciążą wspomnienia z lat szkolnych, z których oswobadzać się muszą mozolną pracą. — Lecz cóż się dzieje ze słabszymi charakterami, z umysłami mniej bystrymi o horyzontach ciaśniejszych...

Padają ofiarą prowokatorów i w najlepszej wierze, pragnąc budować Ojczyznę, grób jej kopią.

A mówiąc o budowie Ojczyzny, mamy na myśli przedewszystkiem nasze serca polskie, nasze dusze polskie. W tym gorącym, zdolnym do każdej ofiary, umiłowaniu ojczyzny, w tej bezustannej trosce o dobro Jej, mieści się Polska nasza, przyszłość nasza!

W niewoli wiekowej przez szkołę pruską i rosyjską znieprawieni, dążyć musimy dziś wszelkiemi



MIŁOSIERDZIE

siłami do odrodzenia tych naszych wystygłych serc i charakterów osłabionych. A dokonać tego możemy jedynie wówczas, jeżeli oświata prawdziwie polska, żadnymi obcymi nie skażona wpływami, rozszerzy się na wszystkie strony Polski, jeśli oświata ludu w duchu narodowym stanie się udziałem ogółu — od mazurskiego Szczytna aż po Zakopane, od Krakowa aż po Wilno. Jedynie wówczas, gdy wszyscy bez wyjątku śmiało i niezachwianie wierzyć będziemy w odrodzenie Polski, jedynie wówczas Polska się odrodzi i stanie się potęgą naszego ducha

Jasna Góra.

Za szczęśliwych czasów królowej Jadwigi, które na długie lata ugruntowały potęgę Polski, za czasów, które nam dały unię z Litwą i grunwaldzkie nad Krzyżactwem zwycięstwo, w owych to latach, ku końcowi XIV stulecia, powstał i odrazu ogromną czcią całego narodu otoczony został klasztor Paulinów i kościół Bogarodzicy na na Jasnej Górze w Częstochowie.

Pomnić należy, iż cały ów wiek XIV na całym zachodzie Europy odznaczał się niezmierną gorliwością w głoszeniu chwały Matki Chrystusowej... W tym to właśnie czasie modlitwa „Pozdrowienia Anielskiego“, dzięki papieskiemu udzielonemu w 1327 r. odpustowi, stała się modlitwą

najgorliwiej wśród katolików odmawianą. A w roku 1318 zaprowadzony zostaje zwyczaj dzwonienia pod wieczór ku czci Bogarodzicy na „Anioł Pański i coraz bardziej gruntuje się obyczaj poświęcenia soboty nabożeństwu do Matki Boskiej, jako jedynej niegdyś duszy ludzkiej, która u stóp krzyża nie zwątpiła w zmartwychwstanie Zbawiciela.

W składaniu hołdu Królowej Niebios ubiegały się o pierwszeństwo wszystkie niemal zakony, ludzie świeccy i rycerstwo całego Zachodu... W drugiej połowie XIII wieku Karmelici zaprowadzają szkaplerz, który był zapoczątkowaniem bractw i święta Matki Boskiej Szkaplerznej; Dominikanie tworzą różaniec, a stąd bractwo różańcowe i święto Matki Boskiej Różańcowej. W szrankach hołdowniczych stanęli i poeci, najznakomitsi pieśniarze swego czasu, jak ów Walter von der Vogelweide, lub Gotfried ze Strasburgu, Konrad Wircburski, i wielu innych. Zaś korna cześć wśród ludu wszystkich krajów pogłębia się coraz bardziej i powstaje szereg świątyń, powszechnem uwielbieniem otoczonych, i jako miejsca z cudów słynące, głośnych.

Polska pod tym względem nie stanowiła wyjątku i w gorliwości kultu dla Matki Zbawiciela innym krajom nie ustępowała zgoła. Wszystkie jej główne świątynie, jak kościół archikatedralny w Gnieźnie, katedralny w Kruszwicy, parafialny w Krakowie były założone pod Jej wezwaniem, a najznakomitsi nasi królowie, jak Bolesław Krzywousty, lub Władysław Łokietek szczególnem nabożeństwem w tym kierunku się odznaczali.

Zwłaszcza atoli — w czasie, który wypiastował naszą Jadwigę i w gronie ludzi, którzy ją otaczali, daje się widzieć gorąca skłonność do coraz żywszej chwały Matki Niebieskiej. Toć nawet ów płochy kanclerz króla Ludwika, biskup krakowski, Zawisza, nie zeszedł ze świata bez pamiątki swego nabożeństwa do Maryi Panny. Pozostała po nim znamienita fundacya przy katedrze krakowskiej mansyonarzów, którzy swojem kolejnem śpiewaniem officyów do W. Panny sprawić to mieli, aby „zamek krakowski we dnie i w nocy brzmiał bezustanną Jej chwałą". Dziad królowej Jadwigi, węgierski król Karol Robert, odmawiał po sto, niekiedy po dwieście Zdrowaś Marya. Babka Jadwigi, Elżbieta, upamiętniła się odnowiem kaplicy N. Panny Egipcyanki na zamku krakowskim. Nad wszystkich atoli celował w tej mierze rodzony ojciec Jadwigi. On to wskutek ślubu bogobojnego przed rozpoczęciem wojny tureckiej około roku 1363 założył ową świątynię styryjską w Marya-Cell, która później razem z Częstochową tak głośno zabłysnęła łaskami. A do powyższego dodać należy, iż jednym z najwcześniejszych śladów pobytu królowej Jadwigi w Krakowie był zachowany do dnia dzisiejszego akt z roku 1384, wznawiający fundacyę altaryi Wniebowzięcia N. Panny w kościele na zamku krakowskim, uczynionej jeszcze przez Kazimierza Wielkiego.

W tych to właśnie czasach pobożności szczerej i gorliwości wzmożonej, a niemal powszechnej, w czasach cudowidztwa, które tak jaskrawo całe średniowiecze charakteryzują — powstał i urósł, aby niemałej wagi rolę w dziejach Polski odegrać, *klasztor Jasnogórski.*

Częstochowa w XIV stuleciu wraz z sąsiednimi zamkami Olsztynem i Wieluniem należała do Władysław Opolczyka, księcia na Kujawach. Składała się ona wówczas z dwóch części — starej i nowej, z których pierwsza przypierała do samotnej góry zwanej Starą, której szczyt wieńczył odwieczny, opuszczony już wówczas kościółek N. Panny. Na tej to właśnie Starej Górze zdecydował Opolczyk wznieść klasztor OO Paulinów i umieścić w nowej świątyni przywieziony z Rusi Czerwonej stary obraz Bogarodzicy, malowany na drzewie w stylu bizantyjskim, a pochodzący z Grecyi.

Fundacya klasztoru dopełnioną została w dniu 9 września 1382 r., a odbyła się w obecności księcia, wobec wielkorządcy książęcego Merboty, Frączka, ochmistrza, czterech burgrabiów czyli starostów i trzech panów duchownych.

Oprócz darów i nadań Opolczyka, już w dniu 25 listopada 1393 r. otrzymuje klastztor przy królewskim mieście Częstochowie nowe nadanie, uczynione tym razem przez Władysława Jagiełłę i poczyna odtąd róść w potęgę duchową, która całą Polskę kołem swych promieni ogarnia.

Wówczas to zaczęła Częstochowa opromieniać się chwałą, która dotąd nie zgasła. Jej *Stara góra* otrzymała odtąd nazwanie Jasnej Góry. Pokrewny jej śpiew *Bogarodzica* nabył coraz więcej rozgłosu. Z tych to lat, mianowicie z r. 1410 mamy pierwszą pewną wiadomość o odśpiewaniu go przez całe wojsko przed bitwą. Z tych to lat pochodzi także jego odpis najstarszy, ułożony około roku 1408. Po niewielu latach, w tym samym czasie, kiedy Częstochowa pierwszymi zajaśniała cudami, stał on się prawdziwym hymnem narodowym, nuconym przy wszystkich uroczystych okolicznościach, w szczególności przy wielkich nabożeństwach dziękczynnych, jako polskie *Te Deum.* Tak i częstochowski obraz Bogarodzicy i starodawną pieśń o Niej winniśmy w znacznej części czasom przyjścia Jadwigi. Otoczył je ten duchowny nabytek dziwnie miłym dla nas urokiem.



OSTATNIA PAMIĄTKA.

J nadszedł czas myśli i pracy.

(Kilka uwag Popielcowych).

I nastał doroczny szary Popielec, który precz wypłoszył wesołego hulakę, co go zwią „karnawałem". Nastał Popielec i — położył kres wszelkiej pustocie, wszelkim tańcom i śmiechom i bezmyślności. Z Popielcem nadszedł czas opamiętania, czas myśli i pracy poważnej. Rzućmy więc przy tej sposobności okiem wstecz na chwil kilka i zastanówmy się nad tym, czym jest karnawał i skąd się on u nas wziął.

Karnawał — to prastary zwyczaj oddawania się zabawie w zimowej porze roku — to słowo rzucające jakiś niewytłomaczony urok na większość naszych nadobnych pań i panien, a za niemi także i na brzydszą połowę rodu ludzkiego. U różnych ludzi — różnie się ten karnawał objawia, zależnie od tego w jakiem są materyalnem, względnie moralnem położeniu. Jednym okrasza on oblicze urokiem dobrze użytego na zabawę czasu, drugim

piętnuje twarz wyrazem bezmyślności, u trzecich zaś wyciska łzy z oczu, a z gardła wyrywa jęk żalu nad niesprawiedliwością i nierównością losu.

Zwyczaj oddawania się zabawom w miesiącach styczniu i lutym sięga prastarych, jeszcze pogańskich czasów. Nie mamy najmniejszego zamiaru pisania historyi tego zwyczaju, ale dla urozmaicenia niniejszych uwag przytoczymy kilka faktów, wyświetlających przyczyny, dla których ludzie właśnie czas zimowy wybrali dla zabaw i oddają się im czasami, aż do przesytu.

Klasycznym przykładem bezmyślnej zabawy w czasie karnawałowym było społeczeństwo rzymskie. W czasach pogańskich obchodzili Rzymianie t zw. „Saturnalia", względnie „Lupercalia" na pamiątkę przesilenia dnia z nocą.

Nie wiadomo, czy uroczystości te miały być powitaniem długiego dnia, czy pożegnaniem długiej nocy — ale ze sposobu zabawy, jakiej się ludzie w tym czasie oddawali, sądzić można, że był to „żałosny jęk" za ustępującą długą nocą. Noc kryje w swem łonie całe zło, pod jej płaszczem dokonują się najohydniejsze zbrodnie, najsprośniejsze sceny — to też nie można się dziwić, że Rzymianie za czasów cesarstwa zepsuci dobrobytem do niemożliwych granic, żałowali każdego roku, że noc długa się kończy i żal swój w ten sposób okazywali, jakby już nic do stracenia nie mieli.

Łamy pisma, któremu zależy na utrzymaniu moralnego poziomu czytelników, nie mogą mieścić w sobie opisów tych wstrętnych orgii, jakie się w czasie „Saturnaliów", względnie „Lupercaliów" w Rzymie rozgrywały — wystarczy nadmienić, że alkohol i wyuzdanie były hasłem wszystkich bawiących się.

Z nastaniem ery Chrystusowej czasy, a z nimi i zwyczaje zaczęły się szybko przeistaczać i uszlachetniać. Miejsce orgii zajęła godziwa zabawa, ale w tych porach dnia i roku, w których ludzie po ciężkiej pracy zapragnęli rozrywki, do jakiej każdy człowiek ma prawo i jakiej mu nikt zakazać nie może.

Uwzględniając to, że każdy człowiek ma prawo do godziwej rozrywki, a chcąc równocześnie ukrócić szalejącą w Rzymie rozpustę, Kościół wydał przepisy, wedle których zabawa ma być tylko środkiem do podtrzymania bystrości umysłu i świeżości sił. I w tym celu oznaczył pory roku. kiedy ludzie bawić się powinni, a kiedy powstrzymać się mają od zabaw i pamiętać o tem, że celem życia ludzkiego nie jest zabawa i użycie, lecz praca dla społeczeństwa, dla przyszłości.

Poza względami etycznymi, przemawiającymi przeciw szałom zabawowym, hulaszczym, istnieją jeszcze względy natury społecznej, które tu przedstawimy tu w formie obrazka z życia:

W ubogiem robotniczem mieszkaniu — zimno, mroźny wicher przedziera się przez źle zaopatrzone okna i swym złowrogim świstem zwiastuje ciężką dla mieszkańców noc... Na barłogu, pod ścianą dwoje dzieci skulonych, w milczeniu przelatują oczętami z oblicza matki na drzwi wchodowe, jakby chciały zepytać — kiedy ojciec wróci i czy jaką strawę ze sobą przyniesie... Ojciec wrócił — oparł głowę na ręku, a po policzkach jego stoczyły się dwie łzy, jakby chciały powiedzieć, nie ma pracy, nie ma strawy dla biednej głodnej dziatwy... Uśpiła matka dziatki, okrywszy je wszystkiem, co miała ciepłego i wyszła z izby, aby pójść tam, gdzie „bogaci państwo" się bawią. Troska o głodne biedactwa wypędziła ją tam; chciała uprosić kilka groszy na strawę..

Oparta o mury wielkiego i pięknego gmachu stoi drżąca z zimna i głodu — i czeka cierpliwie; nadzieja ją tylko grzeje...

A poprzez okna pięknego gmachu przedzierały się skoczne tony walca. W sali grano, wesoło — liczne pary poruszają się rytmicznym krokiem, jakby dążyły w jakąś niepojętą dal szczęścia i rozkoszy. Upojone tańcem kobiety słuchają z napół przymkniętemi oczyma lubego swych danserów gruchania. Oddechy spływają się ze sobą, mowy bez wiedzy tańczących nastrajają się i śpiewają taką pieśń, jakiejby żadne z tańczących, bez muzyki powtórzyć się nie odważyło. Nie masz w tem gronie „jutra", tam wszystko żyje dniem dzisiejszym — tak miłym, bo bezmyślnym. Na całe grono bawiących się — może tylko jakiś ojciec, podpierający ściany, duma nad tem, z czego zapłaci wziętą dla rozpieszczonej córki na kredyt sukienkę. Ustały wreszcie pienia muzyki — zmęczone pary rozchodzą się do domów..

Obok stojącej u wrót gmachu przechodzą pary jedne drugie i setne... Wszyscy przeszli obok tej biednej żebrzącej litości matki — i nikt jej nie zobaczył...

Takie jest życie.

Dziś, gdy już rozpoczął się czas Popielcowy, czas nam otrzeźwieć i zabrać się do pracy, i myśli poważnej, pamiętając o tem, że myśl płocha nie buduje fundamentu, nie rzuca cegieł pod gmach przyszłości. A pola do pracy niezliczone u nas zwłaszcza, w Polsce, obszary. Ojczyzna nasza porząda jak najwięcej i jak najmocniejszych ramion i umysłów oświeconych. Uczmy się więc, oświecajmy się wzajemnie i pracujmy dla Ojczyzny.



ŻNIWIARKA.

GNIAZDKO.

Panna Janina Bise, jest praktykantką oczekującą w Paryżu na posadę, rzeczywistej nauczycielki, skoro ją otrzyma, rodzice wydadzą ją za mąż za ukochanego.. Ma dostateczne kwalifikacye, brak jej już tylko dobrej noty z inspekcyi, ażeby otrzymać tę drogocenną nominacyę, od której zawisło jej szczęście.

Pewnego dnia, kiedy przyszła na zastępstwo w szkółce ludowej, oznajmiono wizytę p. inspektora. Otóż i sposobność zdobycia upragnionej noty. Janina ją przewidziała; od dawna też przygotowała sobie lekcyę, której efektn jest pewna. Ma to być opowiadanie, do udziału którego popowołuje się pytaniami wszystkie dzieci, a którego treść, wzięta z ich życia, ma je zniewolić do samorzutnych uwag i wynurzeń.

Temat wybrała prześliczny: — „Gniazdko".

Trudniej o odpowiedniejszy dla szkoły macierzyńskiej. Gniazdko, czy może być coś milszego dla małych dzieci, tych zaledwie wykłótych pisklątek? I gniazdko, symbol słodkich nadziei, wypieszczonych projektów na przyszłość, czy nie obchodzi najżywiej także i młodą nauczycielkę, szczęśliwą narzeczoną o wiośnianych rojeniach.

. . . .

Pan inspektor zasiada w klasie na krześle, obok katedry nauczycielki; ma ona prowadzić swoją lekcyę; tak jak gdyby go tam nie było.

Dzięki Bogu, śliczna nauczycielka jasnowłosa, uśmiechnięta, o powierzchowności ujmującej, a wytwornej, nie czuła się bynajmniej onieśmielona słuchaczami; nigdy jeszcze nie widziała tak ubogich i tak budzących współczucie. Przytem blade, zwiędłe twarzyczki wyrażają miłe zaciekawienie, a bystre oczęta błyszczą, i aż podziwiają, a więc młode te duszyczki odczuwają wybornie cały czar opowieści.

Zaczyna się lekcya.

Wszystkie dzieci widziały pewnie ptaki. Jakie widziałyście ptaki?

Starsze wyliczają chórem:

Wróble, jaskółki, kanarki.

Janina uzupełnia tę szczupłą liczbę; wymienia wszystko, co należy do rodu ptasiego, a bogactwo jej cytat stanowi wyborny początek.

— Ptaki, to tak, jak ludzie: są między niemi młode, to dzieci, i starsze, to rodzice; tak więc maleńkie ptaszęta mają, jak wy, tatę i mamę.

Tu niespodziana przerwa. Mała dziewczynka śmieje się figlarnie, uradowana, że może wytknąć tak wielką niedorzeczność:

— Ale cóż znowu, nie mamy przecież taty.

I jednocześnie tu i ówdzie w klasie, parskają śmiechem chłopaki i dziewczęta, zabawione nieświadomością paniusi.

— Ależ nie, taty niema wcale.

Głos Janiny mąci się lekko.

— Ptaki, jak się domyślacie, muszą gdzieś sypiać, jak sypiają wasze mamusie, w waszej izdebce.

Nowe protesty. Jakiś chłopak wzrusza ramionami.

— Mama nie śpi w nocy. Pracuje w drukarni.

— Moja także nie wraca na noc.

Stanowczo Janina zaczyna tracić pewność siebie. Waha się, gmatwa, tak dobrze obmyśloną lekcyę.

— Macie nakoniec jakieś mieszkanie, a w niem łóżko, gdzie śpicie.

— Nie, łóżka nie mamy — oświadcza poważna brunetka; przykro jej jest, ale nie może przecie przepuścić takiej niedokładności.

Zmieszana Janina skraca o cały ustęp rozwinięcie swego tematu i przechodzi do jego głównego założenia:

— Chcę wam mówić o gniazdku, które jest domem ptasząt — gniazdko, to miejsce, gdzie nam ciepło i miło, gdzie znajdujemy wszystko, czego nam potrzeba, schronienie, pożywienie, pieszczoty; wasz dom, to wasze gniazdko...

Powstaje straszny hałas.

— U nas zimno...

— I niema co jeść...

— I biją nas wciąż...

Janina traci zupełnie odwagę, a z nią i właściwą modulacyę głosu. Jej lekcya nie robi wrażenia, a jeżeli i robi jakie, to raczej ujemne. Gniazdko, słodycz gniazdka nie istnieje dla większości biednego maleństwa tej szkoły.

Spieszno jej do końca.

— Są źli ludzie, którzy tępią ptaki, to jest wybierają z gniazd bezbronne młode, które latają już potrochu, ale nie tyle, żeby módz umknąć; biedne pisklęta, okrutne ręce łapią je bez trudu; oto naprzykład; wy biegacie, ale gdybym ja zechciała was dogonić — wszak nie trwałoby to długo.

Tym razem ogólna pochwała.

Ach tak gonić z batem, jak kobieta z bramy.

Ostateczny to cios dla Janiny: oto już przestaje być nawet zrozumianą. A pan inspektor zachowuje wciąż lodowate milczenie — słychać tylko bez przerwy jego niecierpliwe uderzenie nogą o podłogę.



W trosce o Dzieciątko.

Wszystko stracone! W jednej błyskawicznej myśli Janina widzi swoją nominacyę odroczoną w nieskończoność, niedoszłe swoje małżeństwo, i zwarzone, zanim rozkwitły, najdroższe marzenia. I naraz jej słowa nabierają mocy, a twarz szczególnego wyrazu.

Trzeba, o ile to w naszej jest mocy, ochraniać gniazda, otaczać je troskliwą opieką, bo zniszczyć gniazdko, to zniszczyć nadzieje, przyszłość, życie. Kiedy niema już gniazd, niema nic.

Mówiąc tak, wypowiada ona poniekąd swój ból serdeczny, maluje spustoszenie gniazdka swoich złotych nadziei. A dramat jest tak realny, że dzieci instynktownie pochylają się ku niej wzruszone, zasmucone. A jedna z dziewczynek, z pierwszej zaraz ławki, jakby tknięta jasnowidzeniem, spogląda na Janinę, przechyla główkę i daje jej całą litość swego serduszka w jednem słówku:

— Biedna kokoszka!

I oto istny cud. Podobna do tracącej się przy egzaminie kandydatki, której podszepnięto trafne wyrażenie, młoda nauczycielka opanowuje się nagle, już wie, że znalazła, jest ocalona!

— Nakoniec, moje dzieci, jest jeszcze dla was i inne gniazdko, chroniące was od wszelkich nie-

bezpieczeństw; jest niem wasza szkółka. Jesteście wszystkie naszemi małemi ptaszynami.

Radosny wybuch.

— A ty jesteś śliczną kokoszeczką białą!

— Białą i czarną...

— Z różowym dzióbkiem...

Wszystkie potakują uszczęśliwione.

Tym razem trafiła: porównanie stosuje się do nich wybornie, widzą siebie rzeczywiście w sytuacyach, w jakie je stawia opowiadająca.

— Jesteście tu, jak małe ptaszyny w gniazdku; wszystkie sobie równe, bracia i siostry, gromadzące się tu po to, aby się kochać i razem wzrastać...

Dzieci czują się naprawdę ptaszynami, tulą się do siebie na ławeczkach, robią do siebie „czir-czir", z dzióbkiem przy dzióbku, ażeby świegotać i pieścić się, jak ptaszęta.

— Kiedy wam zimno, to tak, jak gdybyście nie miały dosyć piórek, ale w szkole znajdziecie miłe ciepło.

Dzieci przybierają minki nieopierzonych ptasząt, które się tulą, garną po ciepło pod macierzyńskie skrzydła.

— Jest wiele rzeczy, których zrobić nie umiecie — bo wam jeszcze nie wyrosły skrzydełka. Otóż kiedy nauczycielki was uczą, kiedy wam opowiadają powiastki, to tak zupełnie, jak kiedy mamy-ptaszki przynoszą w dzióbku pokarm dla swoich małych.

Klasa przeistacza się formalnie w gniazdko: wszystkie dzieci wyciągają szyjki, naśladują ruch skrzydeł.

Nauczycielka opowiada dalej, z wielką już teraz swobodą, pieści wzrokiem kolejno dzieci i wygląda naprawdę tak, jak gdyby przynosiła im pokarm w dzióbku, a one pociągnięte magnetycznie, skwapliwie chwytają słowa z jej różowego dzióbka.

I — czyż trzeba mówić więcej? — Pan inspektor się uśmiecha — rozrzewniony widokiem tego ubogiego gniazdka ulicznych wróbelków, tak żądnych życia, ciepła i światła.

Uprzejmość.

Czy jest piękniejszy, łatwiej zdobywający serca — przymiot, aniżeli uprzejmość? Ona to nawet w dziecku wzbudza zaufanie a nieszczęśliwym dodaje odwagi żądania od nas pociechy i pomocy w potrzebie. Czy cnota ta jest wrodzoną? czy tylko wybrani obdarzeni są tym darem nieba?... Nie — po tysiąc razy nie! — W każdym człowieku kiełkuje to, co nazywamy uprzejmością, tylko że niestety — często przy nieodpowiedniem wychowaniu — zanika. Dla tego też gorąco zachęcamy, właśnie na ten rys charakteru dziecka, zwracać uwagę i pomódz do należytego rozwoju tego przymiotu.

Uprzejmość trzeba wyrabiać w sobie tak długo, aż się stanie drugą naszą naturą. Nie jest wcale zasługą, ani właściwą cnotą, jeśli potrafimy być w domu uprzejmi dla gości, lub jeśli córka domu odgrywa piękne rolę słodziutkiej, ażeby — się podobać. Nie; uprzejmość powinna nietylko rozciągać się dla otaczających nas i dla ściągnięcia pochwały, powinna ogarniać wszystko co się do nas zbliża, powinna z serca się wydobywać, uczuciem, stanie się wtedy każdemu miłą — użyteczną — pomocną.

W duszy dziecka zakorzeniona, pielęgnowaną być winna jak bardzo piękny i dużo ceniony kwiat, który ofiarowany, niechaj nigdy nie będzie — zwarzony odrzuceniem..

Swaty u różnych narodów.

Wśród różnych narodów swaty podług przyjętych obyczajów odbywają się oryginalnie. U cyganów węgierskich naprzykład pierogi ważną odgrywają rolę, zastępując listy miłosne. Młodzieniec ubiegający się o wzajemność swego ideału, zapieka w pierogu monetę i przy sposobności pannie go doręcza. Przyjęcie monety oznacza wzajemność, bezzwłoczne jej zwrócenie odmowę. Sposób to dobry, gdyż sprawę rozstrzyga krótko i węzłowato. W wielu częściach świata wymagają od narzeczonego tylko siły fizycznej. U plemion półdzikich na pustyni arabskiej zamieszkałych, młodzieniec zdobywa przemocą dziewicę, w chwili, gdy ta pasie stado swego ojca. Dziewica, naturalnie broni się z całą siłą, używając do walk wszystkiego, co się pod rękę nawinie: kije, kamienie i piasek służą ku obronie. Gdy w potyczce tej zrani na-

pastnika, zyskuje sławę na całe życie. Jeżeli zaś młodzieniec zdoła ją opanować i przyciągnie do namiotu ojca, małżeństwo formalne zostało zawarte.

Eskimosi nie lepiej postępują. Upatrzoną bowiem towarzyszkę życia siłą uprowadzają do swej jurty lodowej lub namiotu, ciągnąc ją bez ceremonii za długie włosy lub ubrania futrzane. Za to u plemienia Pao-Midos, jednego z narodów birmano tatarskich, swaty odbywają się bardzo poetycznie. Mężczyźni tego plemienia zamiast słów gorących, wyjawiają miłosne swe uczucia przy pomocy dźwięków muzyki. Z nastaniem pierwszego dnia chłodnego urządzają wielką uroczystość, na którą zbierają się wszystkie dziewice, do stanu małżeńskiego odpowiednie. Młodzież, rozsiadłszy się pod drzewami, wygrywa na ulubionych swych instrumentach. Dziewice, przechadzając się, słuchają muzyki, będącej wyrazem uczuć i życzeń grających. W chwili, gdy ukochana przechodzi, młodzieniec gra głośniej i namiętniej; jeżeli dziewica odchodzi, udając, że muzyki nie słyszy, młodzieniec traci nadzieję; gdy zaś bliżej podszedłszy, kwiatek mu rzuca na instrument, rozpromieniony zrywa się i chwyta ją za rękę, bacząc przytem, aby kwiatka nie uronić.

Na wyspie Borneo niemniej oryginalny panuje zwyczaj. Mężczyzna, pragnąc pozyskać względy dziewicy, z całą rycerskością pomaga jej przy wykonaniu najuciążliwszej pracy. Jeżeli wybranka wita go uśmiechem, młodzieniec z nastaniem nocy podkrada się do jej rodzicielskiego domu. Jeżeli rodzice związkowi są przychylni, nie poruszają się z miejsca i udają, że śpią, dziewica wstaje i przyjmuje od ulubieńca słodycze. Kiedy Japończyk pragnie się oświadczyć, rzuca bukiet bladych kwiatów drzewa śliwkowego w nosze damy swego serca, w chwili, gdy się ona wybiera na ślub swojej przyjaciółki. Jeżeli Japonka kwiaty odrzuci — miłość młodzieńca odtrącona; gdy zaś bukiet przypnie do boku — zakochany może sobie powinszować powodzenia w miłości.

Drobiazgi naukowe.

Mechaniczni rachmistrze.

Jednem z najcharakterystycznych wynalazków naszego czasu są z pewnością nowe maszyny do rachowania, poruszane za pomocą elektryczności. Jak olbrzymia musi być liczba rachunków, prowadzonych w wielkich biurach przemysłowo-handlowych, jeżeli opłaca się kupno tych drogich przyrządów, a jak uciążliwa praca rachunków, skoro nie wystarczają zwykłe mechanizmy korbowe, lecz uciekać się trzeba do elekrycznej siły popędowej.

Maszyna taka jest prawdziwą skrzynką czarodziejską. Maleńki motorek elektryczny pomieszczony wewnętrz, zaznacza swą obecność lekkim szumem; ogólny wygląd zaś przypomina maszyny do pisania. Widzimy tam 8 rzędów pionowych klawiszy i na każdym z nich wypisana liczba od 0 do 9. Jeżeli np. chcemy zsumować 9673 i 572, to należy przycisnąć w pierwszym rzędzie pionowym (licząc od prawej strony) klawisz oznaczony liczbą 3, w drugim rzędzie liczbę 7, w trzecim rzędzie 6 i w czartym 9; następnie przyciskamy drążek boczny, wybijamy jak wyżej liczbę 572, t. j. 2, 7 i 5 w odpowiednich rzędach i przyciskamy powtórnie boczny drążek. U samej góry znajduje się specyalna rączka, którą należy lekko dotknąć i wtedy na wstążce papieru otrzymamy wypisane liczby 9673—572 i pod spodem wynik dodawania 10245. Zupełnie tak samo postępujemy, jeżeli idzie o dodawanie dowolnego szeregu liczb; mogą to być liczby aż 8-cyfrowe, a wynik może być wyrażony nawet w setkach milionów; są to manipulacye, które w zwykłych warunkach zdarzają się bardzo rzadko.

Praca tych maszy nie ogranicza się jednak tylko do zwykłego dodawania. Można np. wypisawszy całą kolumnę liczb, wyłączyć z dodawania niektóre z nich (w buchalteryi tak zwane konta wyrównane) przez naciskanie drugiego drążka bocznego i wtedy wszystkie pozycye wyłączone będą wprawdzie wypisane, ale z krzyżykiem u góry i w sumie zawarte nie będą. Są to już prace czysto mechaniczne, bardzo skomplikowane i dogodne.

Szybkość takiej rachunkowości jest nadzwyczajna i przyciśnięcie klawisza trwa daleko krócej niż wypisanie cyfry, a wynik jest gotów w jednej chwili. W dodatku mamy cały rachunek przed oczyma i omyłka jest tylko możliwa ze strony wypisującego liczby, bo maszyna się nie myli. Najmniejsze bowiem uszkodzenie mechanizmu odrazu uniemożliwia dalszą pracę.

Jeszcze może dziwniejsze od tego czarodziejskiego pudełka jest skromniejsza nieco, bo ręcznie prowadzona maszyna do mnożenia. Działanie jej jest następujące: Przypuśćmy, że chcemy pomnożyć 153 przez 274. Na klawiaturze wybijamy, jak na poprzedniej maszynie, liczby 1, 5, 3. Następnie lewą ręką stawiamy korbkę, która chodzi po okrągłym cyferblacie na liczbę 2, a prawą

ręką robimy jeden obrót innej korbki. Później znów lewą ręką stawiamy korbkę na liczbie 7, a prawą korbką robimy dwa obroty. Wreszcie lewą korbkę stawiamy na 4, a prawą robimy już trzy obroty. W tejże chwili otrzymujemy jako wynik mnożenia liczbę 41922. Jeżeli się zastanowimy, jak stosunkowo skomplikowaną czynnością jest mnożenie, to doprawdy dziwnem wydać się może doprowadzenie całej operacyi do kilku obrotów korby. Cała manipulacya, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę większe liczby 5-cio i 6-cyfrowe, trwa co najmniej pięć razy krócej, niż zwykłe mnożenie, a wysiłek pamięci i szczególnej uwagi jest minimalny.

Cała tajemnica maszyn do liczenia polega na dość zawiłej kombinacyi kół zębatych. Bezspornie należą te maszyny do najciekawszych wytworów mechaniki precyzyjnej. Zasadą jest przesuwanie każdego koła o jeden ząb za pomocą wyżej wymienionych korbek. Mnożenie sprowadzone tu jest do dodawania w bardzo dowcipny sposób. Np. wynik mnożenia 649 $\times$ 253 otrzymujemy w ten sposób, że poszczególne wyniki 629 $\times$ 3 czyli 3 razy powtórzone 649 maszyna wypisuje w stosownem miejscu, a każde następne mnożenie wysuwa o jedną liczbę naprzód i w ten sposób dostajemy odrazu rzeczywisty wynik całego mnożenia.

Taka jest w ogólnych zarysach zasada tych pożytecznych maszyn, które z pewnością niejednemu urzędnikowi oszczędzą nerwów i sił do pracy kombinacyjniejszej i wydajniejszej, niż bezmyślne i wyczerpujące dodawania i mnożenia.

TO I OWO.

Zdrowe ciało — zdrowy duch.

Miałem znajomego młodzieńca 20-letniego, który sprawiał wrażenie zgrzybiałego starca. Wiecznie zgarbiony, apatyczny, stękający, wnosił za sobą, gdzie się tylko pokazał, atmosferę choroby, zapach lekarski i długą litanię wyliczanych doktorów i dolegliwości. Leczył się stale. Bez proszków, pigułek i mierzenia temperatury nie umiałby żyć i — jak sam przyznawał — to tylko utrzymywało go na nogach. Słowem, i duch i ciało wątłe było, jak trzcina.

W jakiś czas wyjechałem i na parę lat straciłem go z oczu. Niedawno łapie mnie ktoś na ulicy i ściska mocno za rękę. Patrzę — chłop, jak dąb, barczysty, zdrowie aż kipi, rumieńce na twarzy, jak malowane. Coś mi znajomego, ale przypomnieć sobie nie mogę. Aż jest! Toż to mój znajomy, nasz chuderlak! Nie chciałem oczom wierzyć, taka zmiana. Ucieszyłem się, nuż gawęda.

Opowiedział mi, w jaki sposób zdobył zdrowie i humor. Rzucił lekarstwa, proszki, plastry, a za radą starego, znajomego lekarza wziął się do gimnastyki i pracy. Kupił ciężarki, trapez, linki, podręcznik „Jak się gimnastykować“ i nuż wykonywać ćwiczenia, podnosić ciężarki, fikać kozły po parę godzin dziennie. Z początku myślał, że duszę wyzionie, ale wkrótce przekonał się, że ciało staje się jędrne, apetyt przychodzi, jak u młodego wilka, śpi jak suseł. W parę miesięcy czuł się, jak odrodzony. Flaszki, pudełka, mikstury wyrzucił za okno, przekonał się do kąpieli, do nacierania co rano zimną, studzienną wodą — i znalazł sobie zajęcie. Na rozmyślania o chorobie nie było już czasu. Przekonał się, że cała choroba to było urojenie, niedołęstwo, brak woli. Dzisiaj — o! — I pokazał mi silne, muskularne ręce i tors.

Kiedyśmy się żegnali, mówił: Gimnastykę zarzuciliśmy, nie mamy jej i przez to młodzież dzisiejsza nie ma ani energii, ani sił fizycznych. Niech się gimnastykuje, niech ćwiczy, a zdobędzie zdrowie, chęć i siły do pracy i zabawy. Inaczej skarłowacieje.

Ma słuszność.

Dochody miliardera.

Zmarły niedawno w New Jorku miliarder Jerzy Jay Gould, przy majątku wynoszącym 125 milionów dolarów, w roku 1901 miał dochodu 4.389.885 dol. W r. 1903 jego dochody wzrosły do 4.687.525 dol., lecz w czasie kryzysu z r. 1908, spadły do 2.851.975 dol. Uszczupliło mu fortuny małżeństwo jego siostry Heleny, poślubionej po raz pierwszy hr. Castallane. Brat musiał za obojga płacić długi, a ich cyfra dosięgała 10 milionów dol. Rozwiódłszy się z hr. Castallane, siostra Jay Goulda wyszła za ks. de Sagau.

Skrzynka Redakcyi.

— WP. **Zygmunt Jar.** w Lw. Będziemy się starali uczynić zadość życzeniom Waszym.

— WP. **Mat** w Gr. Adres: Kraków, kolejowa 3.

— WP. **Jan S.** w Dob. Bank parcelacyjny uchwalono na zgromadzeniu 31. z. m. zlikwidować.

— WP. **Jank.** Nie mamy odpowiedzi z Warszawy.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Naraz o świtaniu stanęła straż przednia i przybiegł od niej jezdny do pułkownika. Stój! stój! rozległo się po szeregach.

— Co tam? — zapytał Skiba chłodno.

— Droga się zdaje przez Moskwę zaparta.

— Przesłać ludzi, a wziąć języka. — Puściło się kilku, Samocha jeden z pierwszych, koń pod nim utknął, zły omen, ale smagnąwszy go poleciał.

— Zobaczycie — zawołał — że to ten zbieg szlachcic nawarzył nam piwa. Jeśli dopadł Moskali, łacno mu ich było na nas naprowadzić.

Dniało coraz jaśniej, w różne strony poszły zwiady, wyruszył na dereszu i Skiba nieco naprzód.

Nie potrzeba było jechać daleko, o kilkoro staj gościniec przerzynało obozowisko moskiewskie. Przy dogorywających ogniach biwaków, które z za krzaków dymiły, widać było żołnierzy w gotowości na czatach.

Pułkownik nie przypuszczał, żeby to być mogła ułożona zasadzka, unikając daremnego krwi przelewu i o wątpliwe nie chcąc się kusić zwycięztwo, wolał wycofać się w inną drogę na prawo, sądząc, że tam wolne znajdzie przejście.

Oddział szedł cicho, Moskale zaufani w sile placówek nawet nie mieli, alarmu nie dano, niedosłyszawszy ciągnących.

Wnet na rozkaz pułkownika zwrócono w bok choć ciasną i niewygodną w dwa konie przerzynając się dróżyną, na wypadek walki niebezpieczną, gdyby nieprzyjaciel choć jedno działo miał z sobą.

Był to rodzaj wąwozu wśród zarośli, a w nim błoto zgęstniałe, ale próbować musiano drogi, aby ludzi oszczędzić.

Szli przez pół godziny i przednia szpica znów stanęła.

Po za wąwozem w lesie na polance, były ognie moskiewskie i obóz.

— Niema wątpliwości żeśmy zdradzeni i otoczeni! — zawołał Samocha. — Tego tu wczoraj nie było, znać po szarakach, że ledwie co nadciągnęli, znużeni. Teraz wola Boża.

Skiba niezmarszczony, z wypogodzonem czołem namyślał się.

Chodziło tylko w istocie o wybór nieprzyjaciela i pozycyi najwygodniejszej do rozpaczliwej walki.

W tem od tylnej straży przyszedł jeździec oznajmując, że i od ojcowskiej doliny zabierają tył Moskale.

Nie było więc wątpliwości, iż garść ta wyszpiegowaną i zdradzoną została; nieprzyjaciel opasywał ją w przeważnej liczbie, w miejscu do obrony nadzwyczaj niewygodnem, bo zewsząd otoczony lasami i wzgórzami.

Położenie było rozpaczliwe, ale ludzie nieulękli i wszyscy przeżegnawszy się czekali zbici w jedno spójne ciało.

Drgnęła warga Skibie, oko się zapaliło, ręką wskazał naprzód.

— Bracia! kiedyśmy odkryci — rzekł — czemu pieśni nie zanucić, serca rozgrzeje.

Samocha w tej chwili już intonował ją; dolina nagle rozległa się śpiewem uroczystym.

Ten kościelny hymn o mroku na tych pustkowiach, przy chorągwi z ukrzyżowanym... ci rycerze nieruchomi w siodłach, starzec przodkujący im... przedstawiali obraz jakby innego wieku... Pieśń nastroiła serca do Boga, łzy połyskiwały na powiekach, Karol zdawał się siłą jakąś porwany od ziemi, na barkach rosły mu skrzydła.

Jeszcze pierwsza strofa brzmiała gdy szmer się zrobił, od przedniej straży wiedziono parlamentarza moskiewskiego z chustą białą, zieloną gałęzią i papierem w ręku.

Rusin szedł a rozglądał się, szyderski uśmiech krzywił mu wargi, garść ta ludzi tak mu się zdawała do połknięcia łatwą!

Na papierze stało, dobrą, niestety, polszczyzną, że pułkownik Morozów wzywał konfederatów do zdania się na łaskę, gdyż inaczej oddział w koło otoczony, w pień będzie wycięty.

Skibie czytając, krwią zabiegły oczy, z konia spojrzał na żołdaka, i zdartym papierem rzucił mu w oczy.

— Powiedz temu kto cię przysłał — odezwał się — że żołnierze matki Boskiej padają, ale się nie poddają. Co Bóg da!

— Zatrzymać parlamentarza! obejrzał nas! — krzyczał Samocha.

— Hej! hej! liczonych i nieliczonych śmierć bierze — odparł pułkownik... — puścić go.

Cicho i pieśń zabrzmiała dalej znowu, oddział począł się posuwać ściśnięty, szable obnażały się, pistolety dobywano z olstr, konie zdawały się bliską czuć bitwę, bo chrapały niecierpliwie, a ten to ów rzucił się w bok jakby przelękły.

Pieśń skończona, kapelan odczytał antyfonę, potem...

Kto się w opiekę odda Twoją Boże,
A grzech swój wyzna żałując w pokorze...

W głowie tych ludzi na śmierć prawie nie unikniona skazanych, na zgon niemal pewny idących, głodnych, wyziębłych, znękanych, była przecież taka siła i zapał, że gdy coraz jaśniejszy blask dnia oświecił chorągiew, rozwidnił twarze, przed śpiewającym zastępem, trzykroć silniejszy by był się cofnął.. tak szedł groźny i straszny. Konie jak zagrzane rwały się do prędszego biegu, pieśń grzmiała potężniejąc coraz głośniej.

— Naprzód! — wołał — wskazując ręką Skiba.

Oddział Moskwy stojący naprzeciw, może był najliczniejszy, ale po wyjściu z wąwozów, miejsce do walki dogodniejszem się zdało.

— Wiara! w imie Maryi! Ławą! Razem! przy sztandarze! Naprzód! Wolno! Szablą sobie trzeba drogę wyrąbać.

Jak mur, szara, niema, niewolniczo milcząca wyciągnęła się przed niemi kolumna moskiewska, czekając znaku do strzału.

Oddział stępo, potem szedł kłusem, potem na pułkownika rozkaz, ostrogami spięto konie, z kopyta. Cała kolumna jak kłąb jeden z wrzawą rzuciła się na Moskala, wołając: Jezus, Marya! dym ją cały owionął, kule świsnęły, ale chorągiew ani się cofnęła, ani rozpierzchła!

Moskale widząc ich następujących, przerażeni zuchwalstwem, nim się z bronią na nowo przygotowali, już mieli ich na karku, złamały się szeregi. Chorągiew z krzyżem i Chrystusem onieśmielała wielu.

Konfederaci odrazu wbili się w tę kupę nieprzyjacielską... bezładnie pomięszaną, ale trzymającą się stanowiska i wrzeszczącą dziko, aby sobie dodać serca.

Znaleźli się naraz otoczeni, ściśnięci, obsypani niezbyt szkodliwym, ale gęstym ogniem i tłoczącym się tłumem.

— Naprzód! — wołał pułkownik — za sztandarem!

Szablami krwawemi potrzeba sobie było tą tłuszczą drogę torować — ale szło oporem, tak gęstemi szeregi zalegał pole nieprzyjaciel. — Tu i owdzie zsunął się z konia wojak i jakby tonął padając, złamał się szyk, szczerba w nim, i wnet ściśnięci znowu szli przebojem dalej.

A pieśń nad głowami brzmiała przerywana wykrzykiem śmierć zwiastującym, a sztandar powiewał górą choć od kul podziurawiony.

Jedna z nich przebiła bok Chrystusa.

Z bladych a zimnych w początku twarze rozpłomieniły się, ludzie urośli, siła ich zolbrzymiała, żelezca błyskały nad głowami, oblane krwią, nieustannie podnosząc się i spadając.

Ciżba moskiewska wrzeszczała dziko, wisk ten mięszał się dziwnie z pieśnią uroczystą.

Był to bój rozpaczliwy, bohaterski, bez nadziei, ale tak straszny, że przed zajadłością jego żołdak się cofał jakby nie ludzi, ale niezwalczone istoty, wybrańców Bożych miał przed sobą.

W gwarze tym i dymie już nic widać nie było, tylko w jedną kupe zbite, rwące się ciała ludzi, których rozpoznać, ani policzyć nie było można.

Stali w pośrodku tego mrowia szarego Moskwy, i zwolna rznęli się przez nią. Skiba szedł przodem, oficer moskiewski stał na pagórku i klął rabiata.

Pierwszy raz Karol upił się szałem boju, usta mu się śmiały, śpiewał, drżał, bił a siekł, niewiedząc co czyni, czując tylko, że był szczęśliwy. Uśpiona krew pradziadów odżyła w nim zbudzona okrzykiem bojowym... wspaniałością walki gorączkowej rozwścieczonej. Zdawało mu się, że świat by był rozbił piersiami, a czoło promieniało takim zapałem, że ludzie się przed nim wylękli, cofali...

Jechał przy sztandarze, Chrystus błogosławił, uśmiechała się Matka Boża.

Któż powie jak to długo trwało? Niebo się zaczerwieniło, z za pasów chmur wyjrzało słońce, oni szli, szli, coraz mniejszą garścią po trupach ludzi, po koniach, które wbijali do ziemi.

Za niemi wreszcie została Moskwa... rzucając się, to odskakując i obsypując kul gradem.

Przerżnęli się przez ten motłoch strwożony ich męztwem; ale mimo ran, strat, znużenia, chwili nie było do spoczynku, nie zwalniano biegu, iść musiano, odstrzeliwając się.

Trzecia część walecznych legła na placu, więcej niż drugie tyle było rannych co się jeszcze wlekli. Żołdactwo odzierało trupy i dobijało rannych...

Karol poczuł jakiś ciepły pot płynący mu po piersiach... chwycił się ręką. Czy ze znużenia zrobiło mu się słabo? zaćmiło w oczach, pochylił się na siodle. Świat i bitwa i wschodzące słońce zamgliły się... znikły... w uchu tylko huczały okrzyki i wrzawa... a po nad nie:

Jezus Marya!

Na szpaku krwią obluzganym, Staszek sam ranny lekko podtrzymał omdlałego pana i lecieli tak, dalej a dalej, aż strzały ustały, gwar przycichł, dzień jasny, łagodny, wiosenny roztaczał blaski swe nad ich głowami.

Stanęli na polance rany obwiązywać, koniom się dać wysapać, zmarłych opłakać.. i policzyć.

Skiba ukląkł i gorącą modlitwą Bogu dziękował za garść walecznych, ocaloną choć w części.

Karolowi kula zorała pierś młodą, ale postrzał nie był śmiertelny; przesunął się po niej czerwoną wstęgą ją znacząc, jakby ręka niewidzialna wstrzymała kulę, by dalej nie poszła.

W gorączce drgał chłopak, jakby ciągle jeszcze walczył, śpiewał, śmiał się, ściskał.. aż szał ten w końcu w głęboki sen ołowiany i odrętwienie się zmienił...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W zeszłym numerze rozpoczęliśmy druk bardzo zajmującej powieści Aleksandra Dumasa p. tytułem „Wspólnik Garbarza“, napisanej na tle pełnych grozy wypadków rewolucyi francuskich, zakończonych >>>>>> ścięciem królowej Maryi Antoniny. <<<<<<

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nikt jednak nowy nie przybył, bo jak wspomnieliśmy, krążyły głuche wieści o rzezi, mniemano więc, że to jej początek — kilka okien wprawdzie otworzyło się, lecz je natychmiast zamknięto.

Ochotnicy mniej liczni i nie tak dobrze uzbrojeni, w jednej chwili stali się niezdatnymi do boju. Dwóch ciężko raniono, czterech innych przyparto do muru, trzymając bagnet przy piersi każdego.

— A co — powiedział Lorin — spodziewam się, że teraz będziecie łagodni jak baranki. Co do ciebie, obywatelu Maurycy, wkładam na cię obowiązek odprowadzenia tej kobiety na ratusz. Pojmujesz zapewne, że jesteś za nią odpowiedzialny

— Pojmuję — odrzekł Maurycy i dodał po cichu — a hasło?

— Tam do dyabła — szepnął Lorin drapiąc się za ucho — hasło... bo widzisz...

— Może boisz się abym go nie użył na złe?

— O! na honor — przerwał Lorin — użyj go jak chcesz; wszak to ciebie dotyczy.

— Mówisz więc? — zaczął znowu Maurycy.

— Mówię, że ci je zaraz powiem; ale pozwól niech się pozbędziemy wprzód tych włóczęgów. A potem, nim cię opuszczę, mam ci udzielić jeszcze jednę dobrą radę.

— Dobrze, zaczekam.

I Lorin wrócił ku swym gwardzistom, którzy ciągle trzymali ochotników w oblężeniu.

— No, jakże, czy dosyć już macie taraz? — spytał.

— Dosyć, dosyć, ty psie żyrondystowski — odparł przywódca.

— Mylisz się mój przyjacielu — spokojnie rzekł mu Lorin — jesteśmy lepsi od ciebie sankulloci, bo należymy do klubu Termopilistów, któremu patryotyzmu nikt nie zaprzeczy, spodziewam się.

— Każ odejść obywatelom — mówił dalej Lorin. — Oni temu nie przeczą.

— Jednak nie mniej prawdziwą jest rzeczą, że jeżeli ta podejrzana kobieta...

— Gdyby była podejrzaną, byłaby uciekła podczas tej utarczki, zamiast czekać jej końca, jak oto widzisz.

— Hum! — mruknął jeden ochotnik — obywatel Termopil prawdę mówi.

— Zresztą, przekonamy się o tem, bo przyjaciel mój odprowadzi ją do posterunku, a my tymczasem wstąpimy gdzie wychylić za pomyślność narodu.

— Wstąpimy napić się czego? — powiedział przywódca.

— Tak jest, mam wielkie pragnienie a znam ładny szynk na ulicy Thomas du Louvre.

— A czemużeś tego od razu nie mówił, obywatelu? Żałujemy mocno żeśmy wątpili o twoim patryotyzmie; i na dowód tego, w imię narodu i prawa uściskajmy się.

— Uściskajmy się — rzekł Lorin.

To mówiąc ochotnicy z zapałem ucałowali gwardzistów narodowych. W owym czasie równie łatwo przychodziło do uścisków jak i do ścinania.

— A teraz przyjaciele — zawołały razem oba połączone oddziały — na róg ulicy Thomas du Louvre.

— A my? — żałośnie odezwali się ranni. — Mieliżbyście nas tu zostawić.

— Ma się rozumieć — rzekł Lorin — zostawimy dzielnych, którzy przez pomyłkę polegli w walce przeciw współziomkom i patryotom. No ale przyślemy tu wam nosze, a tymczasem dla rozrywki zaśpiewajcie sobie.

A potem zbliżywszy się do Maurycego, który wraz z nieznajomą stał na rogu ulicy du Coq, podczas gdy gwardziści i ochotnicy prowadząc

się pod ręce zmierzali ku placowi Palais Egalité, dodał:

— Maurycy, przyrzekłem udzielić ci radę, jest ona następującą: Pójdź raczej z nami, a nie kompromituj się odprowadzaniem tej obywatelki, która wprawdzie zdaje się mi być bardzo zachwycającą, ale tembardziej podejrzaną; bo zachwycające kobiety, które o północy biegają po ulicach Paryża...

— Panie — rzekła kobieta — błagam cię, nie sądź o mnie z powierzchowności.

— Naprzód, mówisz pani panie, co jest bardzo wielkim błędem, czy rozumiesz, obywatelko? No, ale i ja mówię ci także pani.

— Tak jest, masz słuszność obywatelu, tak dozwól twemu przyjacielowi niech spełni dobry uczynek.

— A to jakim sposobem!

— Odprowadzając mnie aż do mego domu i opiekując się mną przez całą drogę.

— Maurycy! Maurycy! — rzekł Lorin — rozważ co czynisz; strasznie się kompromitujesz.

— Wiem o tem — odpowiedział młodzieniec; — ale cóż chcesz! jeżeli opuszczę tę biedną kobietę, to ją pierwszy lepszy patrol znowu przyaresztuje.

— Aha! tak, tak, kiedy tymczasem z tobą, mój panie, chciałam mówić z tobą obywatelu, będę ocaloną.

— Czy słyszysz, ocaloną! — powiedział Lorin. — Jej więc grozi jakieś wielkie niebezpieczeństwo?

— No, no, mój kochany Lorin — odparł Maurycy — bądźmy sprawiedliwi. Jest to albo dobra patryotka, albo arystokratka. Jeżeli to dobra patyotka, bronić jej było naszą powinnością.

— Przebacz, przebacz przyjacielu, ale w twojej logice niema sensu. Jesteś jak ten co powiada:

Iris mi serce i rozum odbiera
A o rozsądek teraz się napiera.

— Ej, Lorin — rzekł Maurycy — dosyć tych cytatów, proszę cię, pomówmy rozsądnie: powiesz mi czy nie powiesz hasło?

— Bo widzisz, Maurycy, stawiasz mię w potrzebie poświęcenia obowiązku przyjacielowi, albo przyjaciela obowiązkowi. — Dla tego też, prawdę mówiąc, boję się mój Maurycy, abym nie poświęcił obowiązku.

— Decyduj się więc na jedno lub drugie, mój przyjacielu. Lecz na imię Boga, decyduj się natychmiast.

— Ale nie nadużyjesz mojej dobroci?

— Przyrzekam że nie.

— To nie dosyć; przysięgnij!

— A na czem?

— Przysięgnij na ołtarzu ojczyzny.

Lorin zdjął kaszkiet, podał go Maurycemu od strony kokardy, a ten bez śmiechu wykonał żądaną przysięgę na tym zaimprowizowanym ołtarzu.

— A teraz — rzekł Lorin — oto jest hasło: Galia i Lutecya. Może spotkasz takich, którzy powiedzą ci podobnie jak mnie Galia i Lukrecya, nie zważaj na to! przepuszczaj, bo to zawsze rzymskie.

— Obywatelko — powiedział Maurycy — teraz jestem na twoje usługi. Dziękuję ci Lorin.

— Szczęśliwej podróży — odrzekł tenże wkładając na głowę ołtarz ojczyzny, i wierny swemu anakreonckiemu upodobaniu, oddalił się wyśpiewując:

Nadeszła już chwila błoga,
Gdy grzech czarowny poznałaś,
Dla czegoż Leosiu droga,
Tak długo się namyślałaś.

III.
Ulica, wały św. Wiktora.

Znalazłszy się sam z młodą kobietą, Maurycy przez chwilę był zakłopotany. Obawa aby nie został oszukanym, powab tak cudownej piękności, wyrzuty sumienia republikańskiego, wstrzymały go w chwili gdy miał podać rękę młodej kobiecie.

— Dokąd-że idziesz obywatelko?

— Ach, mój panie, bardzo daleko — była odpowiedź.

— Przecież... dokąd?...

— Ku ogrodowi botanicznemu.

— Bardzo dobrze; chodźmy!

— Ach, mój Boże — rzekła nieznajoma — uznaję iż naprzykrzam się panu, lecz wierzaj mi, gdybym była wystawiona na zwykłe tylko niebezpieczeństwo, nie nadużywałabym pańskiej wspaniałomyślności.

— A więc, pani — odpowiedział Maurycy — jaki może być powód, że pani o tej godzinie znajdujesz się na ulicach Paryża? Czyż oprócz nas spostrzegłaś pani choćby jednę osobę?

— Mój panie, już panu mówiłam, iż chodziłam w odwiedziny na przedmieście du Roule. W południe wyszłam nie wiedząc co zaszło, a powracając również o niczem nie dowiedziałam się; cały czas przepędziłam w cokolwiek oddalonym domu.

— Tak — wyrzekł Maurycy półgosem — w tak zwanym lepszym domu, w jaskini arystokratycznej. Obywatelko, przyznajcie, że jawnie prosicie mnie o obronę, lecz w duchu śmiejecie się z tego, że jej wam udzielam.

— Ja! — zawołała — jak to?

— Bez wątpienia, widzicie republikanina, który was prowadzi, a ten republikanin zdradza swoją sprawę.

— Obywatelu — odparła żywo nieznajoma — jesteście w błędzie, gdyż tak samo, jak wy, kocham republikę.

— Zatem jesteście dobrą patryotką, a wskutek tego nie powinniście nic ukrywać. Obywatelko, zkąd idziecie?

— Ach litości! mój panie! — zawołała nieznajoma.

W słowach „mój panie“ odbijało tak głębokie a delikatne uczucie wstydu i żalu, że Maurycy opanowany życzliwością, pomyślał:

— Zapewne kobieta ta powraca z skromnego sam na sam.

Przy tej myśli uczuł ściśnięcie serca, nie mogąc sobie przyczyny tegoż wytłómaczyć; odtąd stał się milczącym.

Tymczasem doszli nasi nocni wędrowcy do ulicy Verrerie, spotkawszy trzy czy cztery patrole, które na dane hasło wolno ich puściły, z wyjątkiem ostatniej, której oficerowi Maurycy musiał oprócz hasła, powiedzieć swoje nazwisko i mieszkanie.

— Dobrze — odpowiedział oficer — to odnosi się do ciebie, lecz co dotyczy obywatelki?

— No obywatelko?

— Jest... siostrą mojej żony.

Oficer przepuścił ich.

— Pan jesteś żonatym? — wyszeptała nieznajoma.

— Nie pani, lecz zkąd to zapytanie?

— Gdyż właśnie — odparła śmiejąc się — mogłeś pan łatwiej powiedzieć, iż jestem pańską żoną.

— Pani — odpowiedział Maurycy — nazwa małżonki jest uświęconym tytułem, który lekkomyślnie nie powinien być używanym. Nie mam zaszczytu panią znać.

Obecnie przyszła kolej na nieznajomą: uczuła ból w sercu. Milczała.

W tej chwili przechodzili przez most Maryi. Młoda nieznajoma przyspieszyła kroku w miarę zbliżania się do końca drogi.

— Jesteśmy, jak sądzę, w dzielnicy, w której pani mieszkasz — zapytał Maurycy, wstępując na Quai Saint Bernard.

— Tak jest obywatelu — odrzekła nieznajoma — lecz jest to właśnie miejsce, w którem waszej pomocy najbardziej potrzebuję.

— Pani, w rzeczywistości wzbraniasz mi być nieskromnym, wysilając się równocześnie wzbudzić moją ciekawość. To nie jest szlachetnem. No, proszę o nieco więcej zaufania; sądzę, żem na nie dobrze zasłużył. Nie uczynisz-że mi pani zaszczytu oświadczenia mi, z kim mówię?

— Mówisz panie — z uśmiechem przerwała nieznajoma — z kobietą, którąś uwolnił od największego w życiu jej niebezpieczeństwa i która też aż do śmierci nie przestanie ci być za to wdzięczną.

— Ja tyle nie żądam, moja pani; nie bądź pani tyle wdzięczną, lecz racz mi wyjawić twe nazwisko.

— To niepodobna.

— A jednak byłabyś je pani musiała wyjawić pierwszemu lepszemu sekcyoniście, gdyby cię byli zaprowadzili do posteruuku.

— Nie, nigdy! — zawołała nieznajoma.

— W takim razie, poszłabyś pani do więzienia.

— Gotowa byłam na wszystko.

— Ależ więzienie w obecnych czasach...

— Dorównywa rusztowaniu, wiem o tem.

— I byłabyś pani wolała rusztowanie?

— Aniżeli zdradę... bo wyjawić moje nazwisko, to zdradzić!

— Miałem widzę słuszność, utrzymując, że jako republikaninowi dziwną mi pani każesz odgrywać rolę!

— Grasz pan rolę wspaniałomyślnego. Znajdujesz pan biedną, znieważoną kobietę, nie pogardzasz nią chociaż należy do pospolitej klasy ludu, a ponieważ na nowo może być znieważaną, dla ochronienia więc jej od tego, odprowadzasz ją do nędznego cyrkułu, który zamieszkuje; otóż wszystko.

— Tak, słusznie pani mówisz; wszystko na pozór, wszystko to byłbym mniemał, gdybym cię nie był widział, pani; lecz piękność twoja i mowa świadczą, że jesteś kobietą znakomitszego rodu; jakoż, ta to właśnie znakomitość tyle przeciwna ubiorowi twemu i temu nędznemu cyrkułowi, przekonywa mię, że wycieczka pani o tej godzinie, kryje w sobie jakąś tajemnicę; milczysz pani... no, dosyć, nie mówmy o tem, czy daleko jeszcze do mieszkania pani?

W tej chwili weszli przez ulicę Sekwany na ulicę wałów św. Wiktora.

Widzisz pan ten mały czarny budynek? — spytała nieznajoma Maurycego, wskazując ręką na dom położony po za murem botanicznego ogrodu. — Skoro tam przyjdziemy, opuścisz mię pan.

— Bardzo dobrze. Rozkazuj pani, jestem na twe usługi.

— Pan się gniewasz?

— Ja! bynajmniej; wreszcie cóż to panią obchodzi?

— Bardzo wiele, bo mam pana prosić o jednę jeszcze łaskę.

— O jaką?

— To jest o bardzo czułe i bardzo szczere pożegnanie... o pożegnanie przyjacielskie!

— O pożegnanie przyjacielskie! oh! zbyt mi pani wiele czynisz zaszczytu. — Szczególny przyjaciel który nie zna nazwiska swej przyjaciółki, przed którym taż przyjaciółka ukrywa swoje mieszkanie, z obawy zapewne, aby jej nie nudził odwiedzinami swemi.

Młoda kobieta nie odpowiadając, spuściła głowę.

— Wreszcie moja pani — mówił dalej Maurycy — jeżelim pochwycił jaką tajemnicę, nie należy gniewać się na mnie, nie starałem się o to wcale.

— Otóż i przybyłam na miejsce, mój panie — rzekła nieznajoma.

Było to naprzeciw starej ulicy św. Jakóba, otoczonej czarnemi, wysokiemi domami, przerzniętej ciemnemi przejściami, uliczkami pełnemi farbiarni i garbarni, gdyż o parę kroków stamtąd płynie mała rzeczka Bièvre.

— Tu? — spytał Maurycy — jak to, tu pani mieszkasz?

— Tak jest.

— To niepodobna.

— A jednak tak jest w istocie. Żegnam! żegnam cię więc dzielny mój rycerzu; żegnam wspaniałomyślny protektorze!

— Żegnam panią — z lekką ironią odpowiedział Maurycy; lecz dla spokoju mego chciej mi pani powiedzieć, czy żadne ci teraz nie grozi niebezpieczeństwo?

— Żadne.

— W takim razie odchodzę.

To mówiąc Maurycy, cofnął się i zimno ukłonił.

Nieznajoma przez chwilę stała nieruchoma w miejscu.

— Nie chciałabym jednak w ten sposób rozstawać się z panem — rzekła. — No, panie Maurycy, podaj mi rękę.

Maurycy przystąpił do nieznajomej i uczynił co chciała.

Uczuł wtedy, że nieznajoma wsuwa mu pierścień na palec.

— Oh! oh! obywatelko, cóż czynisz? Nie spostrzegasz, że tracisz jeden z swych pierścionków?

— Ach! panie — rzekła — bardzo źle postępujesz.

— Brakowało tylko, abym się okazał niewdzięcznym, nieprawdaż?

— No, proszę cię mój panie... mój przyjacielu. Nie opuszczaj mię w ten sposób. Powiedz czego żądasz? czego ci potrzeba?

— Abym był zapłacony, nieprawdaż? — z goryczą powiedział młodzieniec.

— Nie — odparła z pełnym zachwytu wyrazem nieznajoma — lecz, abyś mi przebaczył, że muszę ukrywać przed tobą tajemnicę.

Maurycy, widząc mimo ciemności blask tych pięknych oczu prawie zwilżonych łzami, czując drżenie tej delikatnej ręki, którą trzymał w swoich, słysząc głos, który zniżył się prawie aż do błagania, nagle z gniewu przeszedł do egzaltowanego uczucia.

— Potrzeba mi — zawołał — abym panią jeszcze raz widział.

— Niepodobna.

— Chociażby tylko raz, tylko godzinę, minutę, sekundę.

— Niepodobna, powtarzam panu.

— Jakto? — zapytał Maurycy. — I pani na seryo mówisz, że cię już nigdy nie zobaczę?

— Nigdy! — niby bolesne echo odrzekła nieznajoma.

— O! pani widocznie naśmiewasz się ze mnie — odrzekł Maurycy.

I podniósł szlachetną swą głowę, otrząsając długie włosy, jak człowiek, chcący wyrwać się mimowolnie pociągającej go sile.

Nieznajoma spoglądała nań z nieopisanym wyrazem. Widać, że niezupełnie obcą była uczuciu, jakiem go napawała.

— Posłuchaj mię panie — rzekła po chwili milczenia przerwanego jedynie westchnieniem, które Maurycy napróżno stłumić w sobie usiłował. — Posłuchaj! czy przysięgniesz mi na twój honor, że zamkniesz oczy od chwili, w której ci to czynić każę, aż do upływu przynajmniej sześćdziesięciu sekund? Ale... na honor.

— A jeżeli przysięgnę, cóż się ze mną stanie!

— Przekonasz się, że dowiodę ci mojej wdzięczności, w sposób w jaki — przyrzekam — jej nigdy i nikomu dowodzić nie będę, chociażby nawet więcej niż pan dla mnie uczynił, co zresztą, byłoby bardzo trudno.

— Ależ nakoniec, czy nie mogę wiedzieć...

— Nie, zawierzaj mi, a obaczysz.

— W istocie, pani, nie wiem, czy jesteś aniołem czy szatanem.

— Przysięgasz pan?

— No, dobrze! przysięgam.

— Cokolwiekbądź nastąpi, nie otworzysz pan oczu.. Cokolwiek nastąpi, czy rozumiesz pan dobrze? chociaż byś nawet czuł, że cię pchnięto sztyletem.

— Na honor, pani mię odurzasz tem swojem wymaganiem.

— Nuże! przysięgaj pan, zdaje mi się, że nic wielkiego nie ryzykujesz

— A więc! przysięgam, cokolwiek mi się przytrafi... — powiedział Maurycy, mrużąc oczy.

Zamilkł.

— Pozwól mi pani ujrzeć cię raz jeszcze — rzekł — raz tylko, błagam.

Młoda kobieta odrzuciła kaptur swój z uśmiechem niezupełnie wolnym od zalotności; a światło księżyca wychodzącego w tej właśnie chwili z poza chmur, po raz drugi pokazało Maurycemu długie jej włosy spadające w hebanowych puklach, doskonały łuk podwójnej brwi, niby chińskim atramentem zarysowanej, dwoje oczu wielkich jak migdały, gładziutkich, omdlewających, i nos najwytworniejszego kształtu, usta świeże a błyszczące jak korale.

— O! pani jesteś piękna, bardzo piękna, zbyt piękna! — zawołał Maurycy.

— Zmruż pan oczy — powiedziała nieznajoma.

Maurycy usłuchał.

Młoda kobieta ujęła obie jego ręce i obróciła go według upodobania. Nagle zdawało mu się, że przy swej twarzy czuje pachnące ciepło, i jakieś usta dotknęły ust jego, zostawiając w nich pierścień, którego nie przyjął.

Było to dotknięcie równie nagłe jak myśl, równie palące jak płomień. Maurycy doznał wrażenia podobnego prawie do boleści, tyle bowiem było niespodziane i dojmujące, tak mu do głębi serca wniknęło i zatrzęsło tajnemi jego włóknami.

Szybko się poruszył i wyciągnął ręce przed siebie.

— Pańska przysięga! — wołał głos już oddalony.

Maurycy skurczonemi dłońmi zakrył oczy dla pokonania pokusy krzywoprzysięstwa. Nie liczył już, nie myślał, ale stał niemy, nieruchomy, chwiejący się.

Po chwili usłyszał niby łoskot drzwi zamykających się o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków od niego; ale wnet znowu powszechne nastało milczenie.

Wtedy dopiero odjął ręce, otworzył oczy, spojrzał w koło, jakby ze snu przebudzony i może byłby mniemał, że się w istocie przebudza, że wszystko, co mu się przytrafiło, było snem tylko, gdyby w zaciśnionych ustach nie trzymał pierścienia, który całą tę trudną do uwierzenia przygodę w rzeczywistość zamieniał.

IV.

Ówczesne zwyczaje.

Gdy Maurycy Lindej przyszedł do siebie i spojrzał w koło, na prawo i na lewo, zobaczył same tylko uliczki; szukał, przypominał sobie, ale mięszało mu się w głowie; noc była ciemna, a księżyc, który wyszedł na chwilę z poza chmur, aby oświecić piękną twarz nieznajomej, teraz znowu skrył się za niemi. Po chwili okrutnej niepewności, młodzieniec nasz udał się napowrót do mieszkania swego przy ulicy du Roule.

Na ulicy Sainte-Avoie zdziwiło go mnóstwo patroli, krążących po cyrkule Temple.

— Cóż tam znowu nowego, sierżancie? — spytał przywódcy bardzo zajętego patrolu, który tylko co czynił poszukiwania na ulicy des Fontaines.

— Co nowego? — odpowiedział sierżant — oto mój oficerze, dzisiejszej nocy chciano wykraść wdowę Kapeta*) z całem jej gniazdem...

— A to jakim sposobem?

— Patrol obcy, dowiedziawszy się, nie wiem za czyjem pośrednictwem o haśle, dostał się do Temple w ubiorze strzelców gwardyi narodowej i miał dopełnić wykradzenia. Szczęściem ten, co grał rolę kaprala, mówiąc z oficerem warty, użył wyrazu panie, a tak sam się zdradził arystokrata!

— Do dyabła! — rzekł Maurycy. — A czy przytrzymano spiskowych?

— Nie, patrol zdołał dostać się na ulicę i rozproszył się.

— Jest-że jaka nadzieja schwytania tych łotrów?

— O! jednego tylko z nich ujęcie byłoby ważnem, a mianowicie ich dowódcy, słusznego, chudego, którego jeden służbowy urzędnik wprowadził między wartę. Nabiegaliśmy się za tym zbójem! Ale znalazł tylne drzwi i umknął.

W każdym innym razie, Maurycy byłby pozostał całą noc z patryotami czuwającymi nad bezpieczeństwem Rzeczypospolitej; ale od godziny nie sama tylko miłość Francyi umysł jego zajmowała. Poszedł więc dalej swoją drogą, lekceważąc wiadomość, którą mu doniesiono, świeżo bowiem doznany wypadek, tłumił w nim wszelkie inne wrażenia. Zresztą, owe mniemane usiłowania wy-

---

*) Kapetem nazywano króla Ludwika XVI.

kradzenia zbyt się namnożyły i sami nawet patryoci widzieli, że w pewnych okolicznościach usiłowań tych używano jako środka politycznego, dlatego też wiadomość ta prawie żadnego republikanina nie nabawiała niespokojem.

Wróciwszy do domu, Maurycy znalazł swego oficyalistę; w owej epoce nie było służących; mówimy więc, znalazł swego oficyalistę, który czekając, zasnął z nudów i mocno chrapał.

Obudził go z wszelkiemi względami, winnemi bliźniemu, kazał zdjąć sobie buty i odesławszy go, aby mu nie przerywał dumań, położył się do łóżka; że zaś późno było, wkrótce sen przemógł roztargnienie umysłu.

Nazajutrz Maurycy znalazł list na stoliku obok łóżka.

Pismo było cienkie, eleganckie, kreślone ręką nieznaną. Spojrzał na pieczątkę, dewizą jej był tylko jeden angielski wyraz Nothing, Nic.

Otworzył i wyczytał te słowa:

„Dziękuję!

„Wieczna wdzięczność w zamian za wieczne zapomnienie!...“

Maurycy zawołał na oficyalistę; prawdziwi patryoci nie dzwonili, bo dzwonek przypominał niewolniczość, a nadto wielu oficyalistów obejmując służbę u swych panów, zastrzegało sobie ten warunek, na co też panowie chętnie zezwalali.

Przed trzydziestu prawie laty oficyalista Maurycego, otrzymał na chrzcie św. imię Jana; lecz obecnie utrzymując, że Jan tchnie arystokracyą i deizmem, z własnego upoważnienia, przechrzcił się na Scewolę.

— Scewolo — zapytał Maurycy — co to za list?

— Nie wiem obywatelu.

— Któż ci go oddał?

— Odźwierny.

— A kto mu go przyniósł?

— Zapewne jaki komisant, bo niema na nim narodowej pieczęci.

— Zejdź i proś tu do mnie odźwiernego.

Odźwierny przybył, bo to Maurycy potrzebował go, a Maurycego lubili wszyscy, z którymi miał stosunki; lecz oświadczył, że gdyby to był kto inny z lokatorów, to by go prosił, aby się do niego na dół pofatygował.

Odźwierny nazywał się Aristides.

Maurycy wypytywał go i dowiedział się, że jakiś nieznajomy przyniósł ten list około ósmej godziny z rana. Nadaremnie młodzieniec nasz powtarzał swoje zapytania, napróżno je przekształcał rozmaicie, odźwierny nie mógł mu nic innego odpowiedzieć. Maurycy prosił go, aby przyjął dziesięć franków i zaklinał, iż jeżeli ten człowiek znowu się pokaże, aby ostrożnie wyśledził dokąd się uda i zawiadomił go o tem.

Spieszymy wyznać, że z wielkiem zadowoleniem Aristidesa, upokorzonego nieco propozycyą śledzenia bliźniego, człowiek ten więcej się nie pokazał.

Pozostawszy sam, Maurycy z gniewem pogniótł list, zdjął pierścionek z palca i wraz z zgniecionym listem położywszy go na stole, odwrócił się do ściany z nierozsądnym zamiarem zaśnięcia na nowo; lecz po upływie godziny, otrząsnął się z tej fanfaronady, znowu całował pierścionek i odczytywał list. W pierścionku oprawny był bardzo piękny szafir.

List zaś, jak powiedzieliśmy, miał kształt małego bileciku, o milę woniejącego arystokracyą.

Podczas gdy Maurycy tak się przypatrywał otworzyły się drzwi jego pokoju. Maurycy wsunął znowu pierścionek na palec i ukrył list pod poduszką. Był-że to wstyd rodzącej się miłości? Byłaż to obawa patryoty nie chcącego, aby wiedziano, że ma stosunki z ludźmi, tyle nierozsądnymi, że odważają się na pisanie listu, którego sama woń mogła zdradzić i rękę kreślącą go i tę co go odpieczętowała?

Wchodzący był to młody człowiek, ubrany jak patryota, lecz z najwyższą patryotyczną elegancyą. Kurtkę miał z cienkiego sukna, spodnie kaszmirowe, a pończochy jedwabne cienkie. Jego zaś frygijska czapka, swym eleganckim kształtem i pięknym purpurowym kolorem byłaby zawstydziła czapkę Parysa.

Nadto miał za pasem parę pistoletów z ex-królewskiej fabryki w Wersalu, oraz krótki i prosty pałasz, na wzór pałaszy uczniów pola Marsowego.

— Cóż to! ty śpisz Brutusie — rzekł nowo przybyły — a ojczyzna w niebezpieczeństwie, wstydź się!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Wszystko mówiły jej łzy milczące... Wojtuś przez pół godziny siedząc przy niej usiłował pocieszyć, przynieść ulgę jakąś, wystawić wszystko w jaśniejszem świetle — ale na bladej twarzy Rejentowej nie znać było skutku jego wymowy.

Płacz nie ustawał.

Chwilami wargi coś szeptały, powtarzając dwa słowa, które się wiły po głowie i opasywały serce.

Doktor, którego Dosia z własnego natchnienia wezwała, nadszedł. Był to dawny męża przyjaciel, lekarz nie osobliwszy ale człowiek serdeczny.

Tego zostawiwszy przy niej, Wojtuś wysunął się już mrokiem prosto dążąc na kolej, by się dostać co prędzej do Berlina.

Rok od tego czasu upłynął, gdy poczciwy przyjaciel Wolskiego wrócił smutny do Berlina, usiłując zapomnieć o wszystkiem, na nic poradzić już nie mogąc. Przyjaźń swą do Kajetana opłacił przykrem nader wrażeniem tego wypadku. Wykradzenie panny Wilhelminy, jak to tam nazywano, chociaż najdobrowolniej w świecie na oznaczoną godzinę z torbą podróżną przybyła na kolej, na której dworcu Kajetan czekał na nią — wykradzenie to dało powód do najboleśniejszych narzekań na wszystkich Polaków i potwarzy. Hänschen posądzający garbusa, że pomagał Wolskiemu, chciał go wyzwać i zarąbać — i ledwie mu się złożyć mógł dowodami, że w czasie wypadku w mieście go od dwudziestu czterech godzin nie było. Richterowa potem wpadła nań wyrzucając mu także, iż zgubił jej faworyta... wiedziała bowiem, że panna była wydziedziczona.

Listy, które do rodziców pisała Wilhelmina, wymogły tylko na nich, że zezwolenie dali potrzebne do ślubu, ale rozporządzeń majątkowych nie odwołali. Hänschen, który był tak przywiązany do siostry, wyrzucał jej niewdzięczność i wyznawał ślepe dla rodzica posłuszeństwo.

Napróżno Wojtuś usiłował się dowiedzieć o Wolskim. Spodziewał się listu od niego, ale długo nie było ani słowa. Z Poznania doszła go smutna wiadomość, że biedna Rejentowa umarła w parę tygodni, że syn przybył sam, już po zgonie na to tylko, aby pójść za ubogą jej trumną. Sprzedano szczupłą pozostałość, ściągnął mały kapitalik, jaki odziedziczył po niej, i zniknął. Nie rychło odebrał nareszcie pismo od niego Wojtuś z jakiejś nieznanej stacyi kolei żelaznej pisane lub na niej do skrzynki wrzucone — smutne, dziwne, niezrozumiałe. Trudno w niem było poznać miłego Kaja, którego wszyscy tak kochali.

Od pierwszych słów zapewniał przyjaciela, że był szczęśliwy nad wyraz wszelki, że w niebiosach tylko raj taki mógł marzyć, że Helma była aniołem i ideałem niewiasty — ale list tchnął smutkiem, tęsknicą — bólem — który z każdego wyrazu wytryskał.

Szczegółów list nie dawał żadnych oprócz tego, że Kajo kończył medycynę na jednym z uniwersytetów niemieckich i że spodziewał się otrzymawszy facultatem medendi... i do pełnienia tego wszystkiego, o czem Molière wspomina — dobić się samoistnego, niezależnego stanowiska. Gdzie? jak? o tem list nie mówił wcale. Wojtuś, który nawykł był ze wszystkiego wnioskować, z papieru, koperty, listu niefrankowanego jakby przez zapomnienie, z samego nawet charakteru i sposobu pisania domyślał się, że państwo Wolscy nie musieli być w najświetniejszem położeniu...

Nieraz przypomniawszy sobie wesołe chłopię — Wojtuś westchnął nad jego losem i powtarzał mimowoli:

— Stracony dla nas!

W tym roku on nareszcie skończył medycynę; patent był napisany, szło tylko o zapłacenie kancelaryjnych kosztów, o pożegnanie się z przyjaciółmi pozostającymi jeszcze w uniwersytecie, o zapakowanie tłumoczków, które ze wszystkiemi elegancyami Wojtusia razem wzięte nie były bardzo ciężkie ani ogromne. Czekał na list rekomendowany od szwagra z niecierpliwością wielką; potem na kolej, w Poznańskie i czyżby też w całem Księstwie kąta nie znalazł do praktyki??

Pora była letnia, czas piękny, roboty skończone, w mieście skwarno i pusto... Wojtuś wziąwszy na siebie surdut, który był arcydziełem krawca, bo garb jego sprowadzał do niedostrzeżonej prawie ułomności jakby tylko podwyższenia jednego ramienia — wyszczotkowawszy włosy aż do jedwabnego połysku, włożywszy cylinder na bakier nieco i duńskie rękawiczki, z przyjemnością się sobie przyglądał.

Bezstronne zastanowienie się nad fizyognomią i postacią widzianą z przodu — przekonywało go, że był prawie przystojnym, że wyrazowi twarzy nie zbywało na dowcipie, który jako gratia status przysługuje wszystkim garbatym — że przyszłość dlań mogła nie być ogołoconą z kwiatów, pączków, wianuszków i słodyczy.

Zatopionym był w tem odgadywaniu własnej przyszłości — gdy w drzwi puknięto. — A! gdybyś to był ty — z tęsknicą oczekiwany listonosz! zawołał w duchu, zwracając się ku drzwiom twarzą.

Jakież było zdziwienie jego, gdy miasto tego posła trosków i pociechy ze skórzaną torbeczką ujrzał w progu kogoś... niezmiernie podobnego do Wolskiego. Na pierwszy rzut oka nie był pewnym, czy to przyjaciel, widmo jego czy postać przypominająca rysy Kajetana, lecz dziwnie i okrutnie zmienione.

Stał przed nim ktoś blady, zmęczony, z oczyma wpadłemi, z uśmiechem na ustach wymuszonym, z nieco obłąkanym wzrokiem... pomieszany, zdający się wątpić, jak będzie przyjętym.

Wojtuś z okrzykiem rzucił mu się na szyję.

— A! przecież — zawołał — przypomniałeś sobie, że ja żyję i że masz w serce mem miejsce, którego nikt zająć nie może... Jak się masz? co tu robisz? Źle wyglądasz!

Kajo dłonią białą powlókł po twarzy, jakby z niej chciał zetrzeć...

Siedli... — Tyś miał gdzieś wyjść?

— Na przechadzkę — chodźmy razem po staremu do Thiergartenu.

Wolski zerwał się z krzesła. Garbus dopiero teraz spostrzegł, że przyjaciel nie bardzo był właściwie do przechadzki ubrany. Chociaż skwar był dojmujący, ciężki wytarty surdut miał na sobie. Reszta stroju dowodziła albo wielkiego zaniedbania lub niedostatku... Wolski, który był dawniej zawsze przy swem ubóstwie czysto i ze smakiem przyodziany, miał na sobie jakieś suknie jakby z tandety wzięte — opylone, bieliznę zbrukaną, ręce zaniedbane, włosy ostrzyżone niezgrabnie. Kapelusz słomkowy pogięty trzymał w ręku. Twarz wydawała się zwiędłą i zestarzałą, czoło parę fałdów przerzynało — w ruchach — w postawie niezmierne czuć było znużenie. Nic nie mogło ujść baczności Wojtusia, postrzegł zaraz, że nie miał nawet zegarka. Buty na nogach stare i szkaradne.

Podobniejszym był do tych „armer Reisender", którzy po miastach zwykli obchodzić domy, niż do przyszłego doktora medycyny i szczęśliwego małżonka ślicznej Wilhelminy.

Litość przejęła Wojtusia.

— Aleś ty może zmęczony podróżą — zawołał — tybyś u mnie tu choć w gorącu spocząć wolał?

— A! nie... wszystko jedno, pójdziemy — rzekł Wolski widocznie się wysilając na żywość i wesołość, której mu brakło. Usta się uśmiechały, ale czoło i oczy okrywał głęboki smutek. — Pójdziemy! chodźmy — jestem stęskniony za tobą, za wami... za mową naszą.. za wszystkiem dawnem. Młodość to taka miła, dobra i słodka rzecz...

— Aleś ty jej przecie nie stracił! — podchwycił Wojtuś.

— A! tak — ale — cóż chcesz? — jestem żonaty, jestem ojcem, mam żonę chorą...

Pociągnął znowu ręką po twarzy.

— Chorą? — zawołał Wojtuś.

— To jest — nie zdrową — nie ma nic niebezpiecznego... Karmi małego Fryca..

— Jakto Fryca? — krzyknął Wojtuś — twój syn ma imię Fryc!

— A! proszę cię! — imię, to wszystko jedno, fantazya Helmy, której bohaterem jest Fryderyk Wielki.

Wojtuś osłupiał i zamilkł, nie śmiał mówić nic o tem więcej. Zrozumiał, że biedny Kajo był pod pantoflem żony i że wkrótce sam zapewne zacznie się przekonywać o genialności i bohaterstwie wielkiego Fryderyka.

Wyszli więc razem do Thiergartenu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

HYGIENA.

Pielęgnowanie włosów.

(Dokończenie.)

Mało czynności wykonywamy równie niewłaściwie, jak mycie głowy; — cała wartość jegoześrodkowywa się wyłącznie, a przynajmniej głównie na włosach. Następujący sposób postępowania jest jedynie racyonalny i celowy: rozczesawszy i przewietrzywszy najpierw oddzielne pasma włosów, rozgarniamy je w jednym miejscu możliwie najdokładniej palcami i lekko nacieramy skórę w tem miejscu wilgotnym płatkiem flanelowym. Jako płyn do mycia dobre jest żółtko, staranie od białka oddzielone i z trochę wody rozbite; można go atoli używać z dołączeniem wody letniej miękkiej z dodatkiem mydła niezbyt ostrego, a więc zawierającego niewiele ługu. Nacieranie powtarzać należy, dopóki nie utworzy się lekka piana.

W ten sposób postępujemy coraz dalej, zgoła nie mydląc włosów. Skoro już cała skóra na głowie została natarta, spłukujemy głowę wodą czystą — przyczem oczywiście już i włosy ulegają zmaczaniu — dopóki nie zostanie usunięty wszelki ślad mydła. Następnie obsuszamy głowę miękkim ręcznikiem i puszczamy włosy swobodnie na plecy, ażeby mogły dobrze wyparować.

Kto racyonalnie pielęgnować chce włosy, powinien przedewszystkiem dbać o czystość grzebieni i szczotek. Narzędzia do czyszczenia muszą same być w doskonałej czystości. Grzebień musi być codzień oczyszczony z kurzu i tłuszczu, co się najlepiej daje uskutecznić przez wyszczotkowanie go w wodzie z mydłem. Zęby wyłamane należy zeszlifować papierem piaskowym, aby nie wydzierały włosów. Trudniej już jest utrzymać czysto grzebień gęsty. Najłatwiej osiągamy to przeciągając go kilkakrotnie po kilku wyprężonych nitkach lub też włosach końskich w małym przyrządzie w rodzaju smyczka. Szczotki powinny być przynajmniej co dwa tygodnie myte, i dlatego przy zakupnie uważać należy, aby miały szczeciny wiązane a nie wklejane Najlepiej myć szczotki, trąc dwie nawzajem o siebie w letnim — nie gorącym — roczynie sody. Następnie trzeba wypłukać w wodzie czystej, obsączyć i położyć szczeciną na dół, aby wyschły. Jeżeli teraz szczecina po kilkarazowem myciu zanadto zmięknie, można przywrócić jej sztywność pierwotną, dodając nieco ałunu do wody, w której się szczotki płucze. Wtedy nie trzeba już szczotek obsączać, lecz wyjąwszy z wody położyć jak wyżej dla obeschnięcia.

Wogóle należy się wystrzegać środków rzekomo pobudzających porost włosów, natomiast używać przechadzek z odkrytą głową, gdyż włos potrzebuje do swego rozwoju światła i powietrza. Lecz główna przyczyna wypadania, jak również skąpego porostu włosów na głowie i twarzy, tkwi w wadliwym składzie krwi.

Kronika kobieca.

— **Organizacya kobiet włoskich** Niedawno nastąpił w Rzymie zjazd uczestników nowoutworzonego *Związku włoskich kobiet katolickich.* Z wielką solennością odbyła się Msza św. w kościele Trinita dei Monti, którą odprawił biskup Serafini i po której wzniosłą miał mowę do zgromadzonych, zaznaczając, ile pożytku ich zjednoczenie przyniesie.

Prezesowe delegatki z każdej prowincyi Włoch, mając na czele generalną prezesową Związku, Krystynę Giustiniani Baudini, zostały następnie przyjęte na audyencyi u Ojca św., który wyraził zadowolenie swe z powodu powstania Związku i życzył mu coraz większego rozwoju. Potem delegacę przyjął kardynał sekretarz stanu.

Sesya plenarna odbyła się w hotelu Beau-Sejour, gdzie debatowano, jak najskuteczniej prowadzić walkę z niemoralnemi i bezbożnemi żywiołami. Po skończonej sesyi odśpiewano w kościele dziękczynne Te Deum.

Prezesowe i delegatki rozjechały się do domów swoich, aby w każdym zakątku Włoch rozpocząć pracę społeczną. Wyjechały z Rzymu silniejsze, bo zrzeszone!

— **Próby wspólnego wychowania.** W wielu miejscowościach Niemiec ucząca się młodzież żeńska jest dopuszczana do uczęszczania do średnich szkół męskich. Skonstantowano, że co do zdolności i osiągniętych rezultatów, nawet w matematyce, fizyce i chemii, żadnej różnicy niema między chłopcami i dziewczętami. W matematyce z 7 dziewcząt na ostatecznych egzaminach w 1905 r. cztery otrzymały stopnie 2—3, dwie 1—2, jedna z algebry i geometryi 1. W chemii, na lekcyach

praktycznych, które są dozwolone, z 60 uczennic uczęszcza 58 już od trzech lat. Gimnazyum w Karlsruhe podaje do wiadomości, że 10 letnia praktyka pokazuje, iż dziewczęta w matematyce i naukach przyrodniczych w najmniejszym stopniu nie pozostały poza kolegami. Z 91 uczennic podczas abituryum 9 otrzymały 1, 32—2, 39—2-3, 11—3. Z 91 abituryentek — 54 studjuje medycynę i nauki przyrodnicze.

Oprócz tego odznaczają się dziewczęta większą punktualnością, porządkiem sumiennością, pilnością i uwagą, co wpływa dodatnio na młodzież męską. Zwrócono też uwagę, że w takich wspólnych szkołach życie umysłowe i duchowe stoi dużo wyżej, niż wyłącznie w męskich, że koleżanki delikatnością obejścia wywierają wpływ uszlachetniający na kolegów.

Obecnie w kilku prowincyach uczęszcza do szkół męzkich 3000 dziewcząt.

Dom i kuchnia.

Przysmaki.

Kalafior sam jest trochę mdły. Dwa jajka ugotowane na twardo (na dwoje); kawałek szynki drobno razem posiekane i rozgrzane w maśle przyrumienionym z bułeczką, wybornie jako przyprawa zaostrzają jego smak. Mieszaniną tą albo się okłada kalafior na półmisku, albo oblewa go się z wierzchu, obierając listkami ziolonej pietruszki.

Piróg ruski czyli kulebiaka z kapustą i z ryżem

Piróg taki robi się z ciasta francuskiego lub drożdżowego (jak zwykle). Licząc na 10 osób, wziąć główkę kapusty, którą posiekać, mocno posolić, sparzyć gorącą wodą i dobrze wycisnąć. Następnie trzy cebule drobno posiekać, zasmażyć na biało z masłem, którego trzeba wziąć dużo, najmniej $^3/_4$ funta; w to masło włożyć kapustę i dusić, aż zupełnie zmięknie; potem 6–8 jaj gotowanych, posiekać drobno, połowę z nich włożyć w kapustę, posolić, popieprzyć i dobrze wymieszać, a drugą połowę jaj pokrajanych w plasterki, pozostawić do nałożenia. Osobno pół funta ryżu ugotować z masłem i wymieszać następnie z czterema surowemi żółtkami. Ciasto przygotowane rozwałkować lekko na pół palca grubości, na spód ułożyć warstwę ryżu, potem jajka pokrajane w plasterki, a na koniec kapustę. Z wierzchu przykryć ciastem, posmarowanem jajkiem, a jeżeli piróg jest z ciasta francuskiego, to wstawić go do pieca gorącego, niech się piecze około godziny; jeżeli to ciasto jest drożdżowe, to trzeba zwinięty piróg postawić w ciepłem miejscu, a dopiero gdy podrośnie, wstawić również na godzinę do pieca.

Ryż wolny z rodzenkami.

Wziąć pięć kwaterek słodkiej śmietanki, zagotować ją z kawałkiem masła, wsypać w nią pół funta oblanżerowanego ryżu, niech się zwolna dusi, a gdyby się zgęsł, zalać go słodkiem mlekiem, aby był wolniuteńki. Gdy już dosyć miękki, wrzucić do niego rodzenków bez pestek, zagotować jeszcze raz, potem wyłożyć na półmisek, posypać cukrem i cynamonem i wydać.

Kokilka ze śledzi.

Dwa śledzie mleczaki, dobrze wymoczone oczyścić, obciągnąć i obrać z ości, mleczko wyjęte pokrajać w podłużne kawałki. Mięso ze śledzi drobno posiekać, dodać łyżkę tartej bułki, 1 cebulę utartą, trochę pieprzu i siekanej zielonej pietruszki i 2 pieczarki lub grzyby drobno usiekane, wszystko dobrze wymieszać i wrzucić na minutę w gorące masło, następnie kokilki wysmarować masłem, ułożyć w nie farsz przygotowany, a w środek farszu włożyć mleczka; wszystko pokryć beszamelem, posypać parmezanem i tartą bułeczką, obłożyć kawałkami masła i wstawić do gorącego pieca.

Przechowanie kawy.

Kawa palona nie powinna być długo trzymana na składzie. Jeżeli jest dobrze przechowana, wytrzymuje bez poważniejszej straty na wartości przeciąg czasu do 14 dni, licząc od dnia upalenia. Najlepiej przechowywać ją w blaszanych naczyniach ze szczelnemi pokrywkami; również przegródki w miejscach sklepowych, przeznaczone na kawę powinne być obite blachą i zaopatrzone w zasuwane pokrywki. Nie dobrze jest przechowywać kawę w ciągu kilku dni w torbach papierowych. W ogóle do kawy należy używać tylko torebek z najlepszego wolnego od kwasów papieru; przy podwójnych torebkach papier wolny od kwasów powinien znajdować się wewnątrz. Kawa mocniej palona (ciemniejsza) ma ziarna grubsze, idzie jej więcej na wagę, ale jest w smaku słabsza, aniżeli lżej palona. Obowiązkowo trzeba wystrzegać się, aby nie mieszać w naczyniach lub szufladach świeżej kawy z resztkami starej.

Plamy od czerwonego wina.

Jeżeli wino zaschnie, trzeba zamoczyć miejsca splamione w słodkiem, gorącem mleku i pozostawić w niem dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli wino nie zdążyło zaschnąć, wystarcza do wywabienia plam zimne mleko i dwanaście godzin moczenia.

Za dobry!

Pewien szlachcic kupował na jarmarku konia. Już sobie wybrał odpowiedniego, kiedy handlarz zachwalając swój towar mówi:

— To koń doskonały, przebiega dwanaście mil bez wypoczynku.

— Dwanaście mil bez wypoczynku! — mówi szlachcic — w takim razie nie mogę go kupić, bo mieszkam zaledwie o ośm mil ztąd, zawiozłaby mnie bestya za daleko!

Z koszar.

Feldwebel: Co wam dolega? wyglądacie jak z krzyża zdjęci.

Rekrut: Nie dobrze mi, panie feleber.

Feldwebel: A szufecy! Jeszcze do tego przyjdzie, że wam zamiast karabina, będzie trza dać „migrenensztyfty“ do łapy...

— Filucie! nie żenisz się! mógłbyś przecie żonę wyżywić.

— Wyżywić mógłbym i trzy, ale ubrać ani jednej.

Wet za wet.

W pewnym domu miano odświeżać mieszkanie. Gospodyni, spojrzawszy nieufnie na Bogu ducha winnych malarzy, rzecze do służącej.

— Moja Kasiu, schowaj te dwie butelki wina do kredensu i daj mi klucze!

Wtedy jeden z malarzy wyjmuje z kieszonki zegarek i papierośnicę, a oddając chłopcu rzecze:

— Oddaj to do domu, bo tu zdaje się być niepewne miejsce.

Na zabawie.

— Ej! panie Emilu! to nie ładnie. Pan tutaj siedzi, a tam z pannami nie ma kto tańczyć.

— Ale, kiedy, bo... nie mogę się połapać z muzyką.

— No?

— Bo tam pani radczyni gra ciągle walca na fortepianie, a mnie... kiszki marsza grają...

Litościwe serce.

Dorożkarz na ulicy w okropny sposób znęca się nad koniem.

Przechodzeń. Bójcie się Boga! Jak można tak katować nieme stworzenie?... Wybyście pewno i dla człowieka nie mieli więcej serca i gotowibyście go zamordować.

Dorożkarz. E, proszę pana, człowieka tobym tak nie bił... Teraz prawie każdy z rewolwerem chodzi.

Nieostrożność.

Gospodarz: Chciałbym mieć stosowny napis nad wyszynkiem wina, który otwieram.

Gość: Nazwij go pan „Pod Dyogenesem“.

Gospodarz: Kto to był?

Gość: Filozof, co siedział w beczce wina, a pił wodę...

Nasze kucharki.

— Kartofle niedosolone a rosół przesolony. Maryanna widać smaku nie ma, skoro takie potrawy na stół podaje?

— Smak to ja mam, proszę pani, tylko nie mam zwyczaju próbować potraw.

— Dla czego?

— Dla tego, że takiem próbowaniem człowiek sobie tylko apetyt psuje i potem obiadu jeść nie może.

W ostateczności.

Gospodarz (do gościa, któremu z powieszadła w kawiarni skradziono palto): Tu stoi jeszcze jakaś laska. Możeby sobie ją pan dobrodziej w ostateczności zabrał?...

Wina Heroda.

— Panie Stanisławie, czem się to dzieje, że mężczyzn wogóle jest mniej na świecie niż kobiet? W Krakowie naprzykład na 100 mężczyzn przypada 107 kobiet.

— To proszę pani, wina Heroda, który w swoim czasie kazał wiele dzieci płci męzkiej wymordować, a dziewczętom darował życie..

Redaktor odp. na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“. — Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odp. Józef Zieliński w Poznaniu.